

Włodzimierz Sołowiow, Krótka opowieść o Antychryście*

Krótka opowieść o Antychryście
Trzy Rozmowy, Przedmowa
Przypisy
Indeks biblijny

Krótka opowieść o Antychryście

Choć imię dzikie – panmongolizm! –
Mnie jednak mile ucho pieści,
Jakby majestat wzniosłej doli,
Od Boga danej, w nim się mieścił...
(tł. Wiktor Woroszyłski)

Dama: Skąd ten epigraf?

P.Z.: Myślę, że ułożył go sam autor opowieści.

Dama: A więc niech pan czyta.

P.Z. (czyta): Dwudziesty wiek po Narodzeniu Chrystusa był epoką ostatnich wielkich wojen, bratobójczych walk domowych i przewrotów. Największa z wojen zewnętrznych miała swoje odległe źródło w ruchu umysłowym panmongolizmu, jaki jeszcze w końcu wieku dziewiętnastego zrodził się w Japonii. Obdarzeni zmysłem naśladowczym Japończycy, którzy zadziwiająco szybko i skutecznie przejęli materialne formy europejskiej kultury, przyswoili sobie również pewne europejskie idee niższego rzędu. Dowiedziawszy się z gazet i z podręczników historii o istnieniu na Zachodzie panhellenizmu. pangermanizmu, panslawizmu,

panislamizmu, poczęli głosić wielką ideę panmongolizmu, tzn. zjednoczenia pod swoim przywództwem wszystkich narodów wschodniej Azji w celu zdecydowanej walki przeciwko cudzoziemcom, tzn. Europejczykom. Korzystając z tego, że w początku dwudziestego wieku Europa była zajęta ostatecznym bojem ze światem muzułmańskim, przystąpili do realizacji wielkiego planu – przez zajęcie najpierw Korei, a potem także Pekinu, gdzie z pomocą postępowej partii chińskiej obalili starą dynastię mandżurską i osadzili zamiast niej japońską.

Również chińscy konserwatyści szybko się z tym pogodzili. Zrozumieli, że z dwojga złego lepiej wybrać mniejsze i że swój swemu chcąc nic chcąc jest bratem. Niezależności państwowej dawnych Chin i tak nie dało się utrzymać i trzeba było podporządkować się albo Europejczykom, albo Japończykom. Było jednak rzeczą jasną, że władztwo Japończyków, usuwając zewnętrzne formy chińskiej państwowości, które zresztą okazały się najwyraźniej do niczego nieprzydatne, nie naruszało wewnętrznych zasad życia narodowego, gdy tymczasem dominacja mocarstw europejskich, popierających z racji politycznych chrześcijańskich misjonarzy, zagrażała najgłębszym duchowym podstawom Chin. Dawniejsza nienawiść narodowa Chińczyków do Japończyków zrodziła się w czasach, kiedy ani jedni, ani drudzy nie znali Europejczyków, wobec których ta wrogość dwóch pokrewnych narodów stawała się waśnią domową, traciła sens. Europejczycy byli całkowicie obcy. Byli tylko wrogami, a ich dominacja w niczym nie mogła pochlebiać plemiennej ambicji, gdy tymczasem w rękach Japonii widzieli Chińczycy słodką przynętę panmongolizmu, który zarazem usprawiedliwiał w ich oczach smutną konieczność zewnętrznej europeizacji. „Zrozumcie, uparci bracia – mówili Japończycy – że

bierzemy od zachodnich psów ich broń nie z sympatii dla nich, lecz po to, aby bić ich tą właśnie bronią. Jeśli połączycie się z nami i przyjmiecie nasze praktyczne kierownictwo, to wkrótce nie tylko przepędzimy białych diabłów z naszej Azji, ale podbijemy też ich własne kraje i założymy prawdziwe imperium środka panujące nad całym światem. Wasza дума narodowa i pogarda dla Europejczyków są słuszne, ale niepotrzebnie podsycacie w sobie te uczucia jedynie marzeniami, zamiast rozumnie działać. Właśnie w działaniu wyprzedziliśmy was i musimy wam wskazywać drogi wiodące ku wspólnej korzyści. Spójrzcie bowiem tylko, co wam dała wasza polityka zadufania w sobie i nieufności wobec nas – waszych naturalnych przyjaciół i obrońców: Rosja i Anglia, Niemcy i Francja nieomal podzieliły was bez reszty pomiędzy siebie, a wszystkie wasze groźne gesty ukazały tylko bezsilny koniuszek smoczego ogona.”

Rozsądni Chińczycy – uznali te argumenty i japońska dynastia umocniła się na dobre. Pierwszą jej troską było oczywiście stworzenie potężnej armii i floty. Większa część sił zbrojnych Japonii została przeniesiona do Chin, gdzie stała się kadrą nowej, ogromnej armii. Oficerowie japońscy, mówiący po chińsku, pełnili funkcję instruktorów znacznie skuteczniej niż usunięci Europejczycy, a wśród niezliczonej ludności Chin wraz z Mandzurią, Mongolią i Tybetem znalazła się dostateczna ilość odpowiedniego materiału ludzkiego. Już pierwszy bogdychan z japońskiej dynastii mógł wypróbować potencjał bojowy odrodzonego imperium wypierając Francuzów z Tonkinu i Syjamu, a Anglików z Burmy, i włączając do Państwa Środka całe Indochiny. Jego następcą, po kądzieli Chińczyk, łączący w sobie chińską przebiegłość i sprężystość z japońską energią, ruchliwością i przedsiębiorczością, mobilizuje w chińskim

Turkiestanie czteromilionową armię i podczas gdy Cun-li-jamyń poufnie informuje rosyjskiego ambasadora, że armia ta jest przeznaczona do podboju Indii, bogdychan wdziera się do naszej Azji środkowej i poderwawszy tu do powstania całą ludność, szybko przechodzi przez Ural i zalewa swoimi wojskami całą wschodnią i centralną Rosję, gdy tymczasem naprędce mobilizowane wojska rosyjskie spieszą pojedynczymi oddziałami z Polski i Litwy, Kijowa i Wołynia, Petersburga i Finlandii. W braku opracowanego zawczasu planu wojny i przy ogromnej liczebnej przewadze nieprzyjaciela zalety bojowe wojsk rosyjskich pozwalają im tylko z honorem ginąć. Szybkość najazdu nie pozostawia czasu dla potrzebnej koncentracji i korpusy ulegają jeden za drugim zniszczeniu w zaciętych, a beznadziejnych walkach. Wprawdzie Mongołom zwycięstwa nie przychodzą tanio, ale uzupełniają oni łatwo swoje straty, mając w swych rękach wszystkie azjatyckie koleje żelazne, gdy tymczasem dwustutysięczna armia rosyjska, od dawna skoncentrowana na granicy Mandżurii, dokonuje nieudanej próby wtargnięcia do dobrze bronionych Chin. Pozostawiwszy część swoich sił w Rosji, aby przeszkadzać formowaniu się nowych wojsk oraz dla zwalczania rozplenionych oddziałów partyzanckich, bogdychan przekracza trzema armiami granicę Niemiec. Tutaj zdążono się już przygotować i jedna z armii mongolskich zostaje doszczętnie rozbita.

W tym czasie jednak we Francji bierze górę partia spóźnionego odwetu i wkrótce na tyłach Niemców pojawia się milion nieprzyjacielskich bagnetów. Wzięta w dwa ognie, armia niemiecka zmuszona jest przyjąć honorowe warunki kapitulacji, przedstawione przez bogdychana. Triumfujący Francuzi, bratając się z żółtolicymi, rozpraszają się po Niemczech i wkrótce

zatracają wszelkie ślady wojskowej dyscypliny. Bogdychan rozkazuje swoim wojskom wyrżnąć niepotrzebnych już sojuszników, co dokonuje się z chińską akuratnością. W Paryżu wybucha powstanie robotników sans patrie i stolica zachodniej kultury radośnie otwiera swe bramy władcy Wschodu. Zaspokoiwszy swoją ciekawość, bogdychan udaje się do nadmorskiej Boulogne, gdzie pod osłoną floty, przybyłej z Oceanu Spokojnego, przygotowywane są statki transportowe, które mają przeprowadzić jego wojska do Wielkiej Brytanii. Ale potrzebne mu są pieniądze i Anglicy okupują się miliardem funtów. W ciągu jednego roku wszystkie państwa europejskie uznają swoją wasalną zależność od bogdychana, a on, pozostawiwszy w Europie dostateczne kontyngenty wojsk okupacyjnych, wraca na Wschód i podejmuje wyprawy morskie do Ameryki i Australii. Przez pół wieku pozostaje Europa pod tym nowym mongolskim jarzmem.

Od strony wewnętrznej epokę tę znamionuje powszechne przemieszanie i głębokie wzajemne przenikanie się europejskich i wschodnich idei, powtórzenie en grand starożytnego synkretyzmu aleksandryjskiego; w praktycznych zaś dziedzinach życia najbardziej charakterystyczne stają się trzy zjawiska: wielki napływ do Europy chińskich i japońskich robotników i spowodowane tym silne zaostrenie problemu socjalno-ekonomicznego, podejmowany przez klasy rządzące szereg paliatywnych prób rozwiązania tego problemu oraz intensywna międzynarodowa działalność tajnych organizacji społecznych, tworzących rozległy ogólnoeuropejski spisek mający na celu wypędzenie Mongołów i przywrócenie Europie niepodległości.

Ten kolosalny spisek, w którym uczestniczą również lokalne rządy narodowe, o ile jest to możliwe przy kontroli sprawowanej

przez namiestników bogdychana, zostaje mistrzowsko przygotowany i odnosi znakomity sukces. W wyznaczonym terminie następuje rzeź mongolskich żołnierzy, masakra i wypędzenie azjatyckich robotników. Wszędzie ujawniają się tajne kadry europejskich wojsk i według sporządzonego na długo przedtem, niezwykle szczegółowego planu przeprowadzona zostaje powszechna mobilizacja. Nowy bogdychan, wnuk wielkiego zdobywcy, spieszy z Chin do Rosji, ale tutaj armia wszech europejska zadaje jego niezliczonym zastępom druzgocącą klęskę. Ich rozproszone resztki powracają w głąb Azji i Europa staje się wolna.

Jak podporządkowanie na okres półwiecza azjatyckim barbarzyńcom nastąpiło wskutek wzajemnej separacji państw myślących tylko o swoich partykularnych interesach narodowych, tak imponujące wyzwolenie osiągnięte zostaje dzięki międzynarodowej organizacji: zjednoczonych sił całej europejskiej ludności. Naturalnym następstwem tego oczywistego faktu jest to, że stary, tradycyjny ustrój oddzielnych narodów traci powszechnie znaczenie i prawie wszędzie znikają ostatnie pozostałości starych monarchistycznych instytucji. Europa w dwudziestym pierwszym wieku stanowi związek mniej lub więcej demokratycznych państw – europejskie stany zjednoczone. Rozwój kultury zewnętrznej, nieco zahamowany wskutek mongolskiego najazdu i walki wyzwoleniczej, nabrał znowu żywego tempa.

Natomiast sprawy zaprzatające wewnętrzną świadomość – problem życia i śmierci, ostatecznego losu świata i człowieka – dodatkowo powikłane w wyniku nowych badań i odkryć fizjologicznych i psychologicznych, pozostają nadal nie rozwiązane. Następuje tylko jeden, doniosły fakt negatywny:

ostateczny upadek teoretycznego materializmu. Wyobrażenie o świecie jako systemie tańczących atomów i o życiu jako rezultacie mechanicznego nagromadzenia najdrobniejszych zmian substancji – takie wyobrażenie nie mogło już zadowolić ani jednego myślącego umysłu. Ludzkość na zawsze wyrosła z tych filozoficznych powijaków. Z drugiej strony wszakże staje się jasne, że, wyrosła ona również z dziecięcej zdolności do naiwnej, spontanicznej wiary. Takich pojęć, jak Bóg, który stworzył świat z niczego, itp., przestają uczyć już nawet w szkołach elementarnych. Wypracowany został pewien ogólny podwyższony poziom wyobrażeń o tych sprawach, poniżej którego nie może zejść żaden dogmatyzm. I kiedy ludzie myślący w swej ogromnej większości pozostają zupełnie niewierzący, to nieliczni wierzący stali się wszyscy z konieczności również myślącymi, spełniając zalecenie apostoła: „bądźcie dziećmi w sercu, ale nie w umyśle” (por. 1Kor 14,20).

Był w owym czasie pośród nielicznych wierzących spirytualistów pewien człowiek niezwykle – wielu nazywało go nadczłowiekiem – równie daleki od dziecięctwa umysłu jak i serca. Dzięki swojej genialności już w wieku trzydziestu trzech lat zasłynął on szeroko, jako wielki myśliciel, pisarz i działacz społeczny. Doświadczając w sobie samym ogromnej siły ducha, był niezmiennie przekonany spirytualistą, a jasny umysł ukazywał mu zawsze prawdę, w którą należy wierzyć: dobro, Boga, Mesjasza. I wierzył w to, ale kochał tylko siebie samego. Wierzył w Boga, ale w głębi duszy mimo woli i instynktownie dawał pierwszeństwo przed Nim sobie.

Wierzył w Dobro, ale wszechwidzące oko Wieczności wiedziało, że człowiek ten pokłoni się złej mocy, skoro go ona tylko spróbuje przekupić – nie ułudą uczuć i niskich namiętności,

nawet nie subtelną przynętą władzy, lecz jedynie poprzez bezgraniczną miłość własną. Zresztą ta miłość własna nie była ani nieświadomym odruchem ani szaleńczym uroszczeniem. Poza wyjątkową genialnością, urodą i szlachetnością również najwyższe znamiona wstrzemięźliwości, bezinteresowności i czynnej filantropii dostatecznie usprawiedliwiały, jak się zdawało, ogromną miłość własną tego wielkiego spirytualisty, ascety i filantropa. I czy można go winić za to, że tak hojnie Bożymi darami uposażony, ujrzał w nich szczególne znaki wyjątkowej dla siebie przychylności z góry i widział w sobie kogoś drugiego po Bogu, jedynego w swoim rodzaju syna Bożego?

Jednym słowem, uznał siebie za tego, kim w rzeczywistości był Chrystus. Ale ta świadomość swojej najwyższej godności uformowała się w nim nie jako jego moralny obowiązek wobec Boga i świata, lecz jako jego prawo i poczucie pierwszeństwa przed innymi, a głównie przed Chrystusem. Początkowo nie czuł nawet do Jezusa wrogości. Uznawał Jego mesjańską rolę i godność, ale tak naprawdę to widział w Nim tylko swojego największego poprzednika – czyn moralny Chrystusa i Jego absolutna jedyność były dla tego zamrozonego miłością własną umysłu niezrozumiałe. Rozumował on tak: „Chrystus przyszedł przede mną; ja jestem drugi; ale przecież to, co w porządku czasowym jest późniejsze, w istocie jest pierwsze. Przychodzę jako ostatni, u kresu dziejów, właśnie dlatego, że jestem doskonałym, ostatecznym zbawicielem. Ów Chrystus jest moim zwiastunem. Jego misją było poprzedzenie i przygotowanie mojego przyjścia”. I w tej myśli wielki człowiek dwudziestego pierwszego wieku odnosił do siebie to wszystko, co powiedziano w Ewangelii o drugim przyjściu, tłumacząc to przyjście nie jako

powrót tegoż Chrystusa, lecz jako zastąpienie poprzedniego Chrystusa ostatecznym, to znaczy nim samym.

W tym stadium „przyszły człowiek” niewiele jeszcze przejawia cech charakterystycznych i oryginalnych. Przecież w podobny sposób patrzył na swój stosunek do Chrystusa na przykład Mahomet – mąż prawy, którego nie można obwiniać o jakąkolwiek złą intencję.

Wynosząc siebie ponad Chrystusa, człowiek ów uzasadnia to jeszcze takim rozumowaniem: „Chrystus, głosząc i urzeczywistniając w swoim życiu dobro moralne, naprawiał ludzkość, ja zaś jestem powołany do tego, aby być dobroczyńcą tej częściowo naprawionej, częściowo nie naprawionej ludzkości. Ja dam wszystkim ludziom wszystko co im potrzebne. Chrystus jako moralista dzielił ludzi na dobrych i złych, ja połączę ich za pomocą dóbr jednakowo potrzebnych dobrem i złym. Będę prawdziwym przedstawicielem tego Boga, który każe świecić swemu słońcu nad dobrymi i złymi, który spuszcza rosę na sprawiedliwych i niesprawiedliwych. Chrystus przyniósł miecz – ja przyniosę pokój. On groził ziemi strasznym sądem ostatecznym – ale przecież ostatecznym sędzią będę ja, a sąd mój będzie nie sądem prawdy, tylko sądem łaski. Będzie i prawda w moim sądzie, ale nie prawda odpłacająca, lecz prawda rozdzielająca. Wszystkich wyróżnię i każdemu dam według jego potrzeb.

I w takim oto nastroju ducha oczekuje on jakiegoś wyraźnego Bożego wezwania do dzieła ponownego zbawienia ludzkości, jakiegoś widmowego i zadziwiającego świadectwa, że jest on starszym synem, umiłowanym pierworodnym Boga. Czeka i karmi swoją jaźń świadomością swych nadludzkich cnót i talentów – przecież, jak było powiedziane, jest to człowiek o nienagannej moralności i niezwykłym geniuszu.

Wyczekuje dumny mąż sprawiedliwy najwyższej sankcji, aby rozpocząć zbawianie ludzkości – i nie może się doczekać. Minęło już trzydzieści lat, przechodzą jeszcze trzy lata. I oto błyska w jego głowie i przenika go do szpiku kości gorącym dreszczem myśl: „A jeśli?... A nuż to nie ja, tylko ten... Galilejczyk... A nuż nie jest On mym zwiastunem, lecz prawdziwym, pierwszym i ostatnim? Ale przecież w takim razie powinien być żyw... Gdzie On jest? A jeśli przyjdzie do mnie... teraz, tutaj... Co mu powiem? Przecież będę musiał oddać mu pokłon jak ostatni głupi chrześcijanin, jak jakiś rosyjski muzyk mamroczać bez sensu: Panie Jezusie Chryste, zmiłuj się nade mną grzesznym, albo niczym polska baba paść krzyżem. Ja, świetlany geniusz, nadczłowiek. Nie, nigdy!” I w tym momencie w miejsce poprzedniego rozumnego, chłodnego szacunku dla Boga i Chrystusa rodzi się i rośnie w jego sercu najpierw jakaś zgroza, a potem kłująca i całe jego jestestwo ściskająca i dławiąca zazdrość oraz wściekła, pełna pasji nienawiść. „Ja, ja, a nie On! Nie ma Go wśród żywych, nie ma i nie będzie. Nie zmartwychwstał, nie, nie, nie! Zgnił, zgnił w grobie, zgnił jak ostatnia...” I z pianą na ustach, konwulsyjnymi skokami wybiega z domu, z ogrodu, i w głuchą, ciemną noc biegnie skalistą ścieżką... Pasja cichnie w nim i zastępuje ją głucha i ciężka jak skały, mroczna jak ta noc rozpacz. Zatrzymuje się nad stromym urwiskiem i słyszy daleko w dole niewyraźny szum płynącego po kamieniach potoku. Nieznośny żal ściska jego serce.

Nagle coś się w nim porusza. „Wezwać Go – zapytać, co mam robić?” I wśród mroku ukazuje mu się pełen łagodnego smutku obraz. „On się nade mną lituje... Nie, nigdy! Nie zmartwychwstał, nie zmartwychwstał!” I rzuca się z urwiska. Ale coś sprężystego, jakby słup wodny, utrzymuje go w powietrzu, czuje wstrząs, jakby

rażony prądem elektrycznym, i jakaś siła odrzuca go wstecz. Na moment traci świadomość, a kiedy ją odzyskuje, klęczy w odległości kilku kroków od urwiska. Przed nim rysuje się jakaś promieniejąca fosforycznym zamglonym światłem postać, której dwoje oczu nieznośnym ostrym światłem przenika jego duszę...

A on widzi tych dwoje przenikliwych oczu i słyszy ni to w sobie, ni to z zewnątrz jakiś dziwny głos – głuchy, wręcz zdławiony, a zarazem wyraźny, metaliczny i całkowicie bezduszny, jakby pochodził z fonogramu. I głos ten mówi mu: „Synu mój umiłowany, w tobie całe moje upodobanie. Czemuś nie wybrał mnie? Dlaczego czciłeś tamtego, nędznego, i jego ojca? Jam bóg i ojciec twój. A tamten, ukrzyżowany nędzarz, jest obcy mnie i tobie. Nie mam innego syna prócz ciebie. Tyś jedyny, jedno rodzony, równy mnie. Miłuję cię i niczego od Ciebie nie żądam. I tak jesteś piękny, wielki, potężny. Czyń swoje dzieło w imię twoje, nie moje. Nie żywię ku tobie zazdrości. Miłuję cię. Niczego od ciebie nie potrzebuję. Tamten, którego uważałeś za boga, żądał od swego syna posłuszeństwa, i to posłuszeństwa bez granic – aż do śmierci krzyżowej – a kiedy był on na krzyżu, nie przyszedł mu z pomocą. Ja niczego od ciebie nie żądam, a pomogę ci. Dla ciebie samego, dla twojej własnej wolności i wyższości i gwoli mojej czystej, bezinteresownej ku tobie miłości – pomogę ci. Przyjmij ducha mojego. Jak dawniej duch mój płodził cię w pięknie, tak teraz płodzi cię w mocy”. Przy tych słowach tajemniczej postaci usta nadczłowieka mimo woli rozchyliły się, dwoje przenikliwych oczu przybliżyło się tuż do jego twarzy i poczuł, jak ostry, lodowaty strumień wszedł weń i napełnił całe jego jestestwo. Jednocześnie poczuł w sobie niezwykłą moc, rześkość, lekkość i zapał. W tejże chwili jaśniejące oblicze i dwoje oczu nagle znikło, coś uniosło

nadcześnika ponad ziemię i zaraz opuściło go w jego ogrodzie, u drzwi domu¹.

Następnego dnia nie tylko osoby odwiedzające wielkiego człowieka, ale nawet jego słudzy byli zdumieni jego osobliwym natchnionym jakimś wyglądem. Jeszcze bardziej by się wszakże zdumieli, gdyby mogli widzieć, z jaką nadnaturalną szybkością i łatwością pisał on, zamknawszy się w swoim gabinecie swe znakomite dzieło pod tytułem „Otwarta droga do powszechnego pokoju i pomyślności”. Poprzednie utwory i poczynania społeczne nadcześnika znajdowały surowych krytyków, którzy zresztą byli w większości ludźmi szczególnie religijnymi i dlatego pozbawionymi wszelkiego autorytetu – mówię przecież o czasie przyjścia Antychrysta – tak że niewielu tylko ich słuchało, kiedy wskazywali oni we wszystkim, co pisał i mówił „przyszły człowiek” znamiona zupełnie wyjątkowej, stężonej ambicji i pychy, braku prawdziwej prostoty szczerości i ciepła uczuć.

Ale swoim nowym dziełem zjednuje on sobie nawet niektórych spośród swoich dawnych krytyków i przeciwników. Utwór ten, napisany po wydarzeniu na urwisku, ujawnia w nim niespotykaną dotąd siłę geniuszu. Jest to coś wszechogarniającego i godzącego wszystkie sprzeczności. Łączą się tu szlachetny szacunek dla dawnych tradycji i symbolów z szerokim i śmiałym radykalizmem społeczno-politycznych postulatów i wskazań, nieograniczona wolność myśli z najgłębszym zrozumieniem dla wszelkiej mistyki, absolutny indywidualizm z gorącym oddaniem dobru wspólnemu, najwznioślejszy idealizm zasad przewodnich z pełną życiową konkretnością praktycznych rozwiązań. Wszystko to zaś jest połączone i powiązane ze sobą w sposób tak genialnie mistrzowski, że każdy jednostronny myśliciel czy działacz łatwo widzi i przyjmuje całość swoim indywidualnym aktualnym kątem

widzenia, nie poświęcając niczego dla samej prawdy, nie wznosząc się dla niej ponad swoje ja, ani trochę nie rezygnując w istocie rzeczy ze swojej jednostronności, w niczym nie korygując błędności swoich poglądów i dążeń, niczym nie uzupełniając ich braków.

To zadziwiające dzieło zostaje natychmiast przełożone na języki wszystkich oświeconych i niektórych nieoświeconych narodów. Tysiące pism we wszystkich częściach świata przez cały rok pełne są reklam wydawniczych i zachwytów krytyki. Tanie edycje z portretami autora rozchodzą się w milionach egzemplarzy i cały kulturalny świat – a w owym czasie znaczy to niemal tyle co cała kula ziemską – pełen jest sławy tego niezrównanego, wielkiego, jedyne! Nikt nie ma wobec tego działa zastrzeżeń, każdemu bowiem wydaje się ono objawieniem całości prawdy. Wszystkiemu, co przeszłe, jest w nim oddana tak pełna sprawiedliwość, wszystko bieżące ocenione tak obiektywnie i wszechstronnie, a świetlana przyszłość tak sugestywnie i namacalnie zbliżona do terażniejszości, że każdy mówi: „Oto jest to właśnie, co nam potrzebne, oto ideał, który nie jest utopią, oto zamysł, który nie jest chimerą”. I wspaniały pisarz nie tylko wszystkich fascynuje, ale jest każdemu przyjemny, tak, że spełniają się słowa Chrystusa: „Ja przyszedłem w imieniu Ojca mego, a nie przyjęliście mnie; przyjdzie kto inny w imieniu swoim i tego przyjmiecie (J 5,43). Przecież aby zostać przyjętym, trzeba być przyjemnym.

Co prawda niektórzy pobożni ludzie, gorąco chwając tę książkę, próbują nieśmiało pytać, dlaczego nie ma w niej ani jednej wzmianki o Chrystusie, ale inni chrześcijanie od razu na to odpowiadają: „I chwała Bogu! Dość już w ubiegłych wiekach rozmaici niepowołani, a żarliwi apologety zbanalizowali

wszystko, co święte, i teraz naprawdę religijny pisarz musi być bardzo ostrożny. Skoro treść dzieła jest przeniknięta prawdziwie chrześcijańskim duchem czynnej miłości i wszechogarniającej życzliwości to czegoż jeszcze więcej chcecie?” I wszyscy się z tym zgadzają. Wkrótce po pojawieniu się „Otwartej drogi”, która uczyniła swego autora najbardziej popularnym ze wszystkich ludzi, jacy kiedykolwiek żyli na świecie, miało się odbyć w Berlinie międzynarodowe zgromadzenie założycielskie związku państw europejskich. Związek ten, ustanowiony po szeregu zewnętrznych i domowych wojen, które były związane z wyzwoleniem od jarzma mongolskiego i poważnie zmieniły mapę Europy, narażony był na niebezpieczeństwo konfliktów – już nie między narodami, ale między politycznymi i społecznymi partiami.

Koryfeusze wspólnej polityki europejskiej, należący do potężnego bractwa masonskiego odczuwali brak wspólnej władzy wykonawczej. Osiągnięta z takim trudem jedność europejska mogła się lada chwila ponownie rozpaść. W radzie związkowej, czyli światowym zarządzie (Comité permanent universel), nie było zgody, ponieważ nie wszystkie miejsca udało się obsadzić prawdziwymi, wtajemniczonymi w sprawę masonami. Niezależni członkowie zarządu zawierali między sobą odrębne porozumienia i cała sytuacja groziła nową wojną. Wówczas „wtajemniczeni” postanowili utworzyć jednoosobową władzę wykonawczą z dostatecznym zakresem pełnomocnictw. Głównym kandydatem był tajny członek bractwa – „przyszły człowiek”.

Był on jedyną osobą o wielkiej wszechświatowej sławie. Będąc z zawodu wyszkolonym artylerzystą, a z pozycji społecznej wielkim kapitalistą, miał wszędzie przyjacielskie powiązania z kręgami finansowymi i wojskowymi. W innej, mniej oświeconej

epoce przemawiałyby przeciwko niemu okoliczność, że pochodzenie jego okryte było głębokim mrokiem niejasności. Jego matka, kobieta raczej lżejszych obyczajów, była doskonale znana obu ziemskim półkulom, ale dość wiele różnych osób miało jednakowy powód uważać się za jego ojców. Okoliczności te naturalnie nie mogły mieć żadnego znaczenia dla wieku tak postępowego, że aż wypadło mu być ostatnim. „Przyszły człowiek” niemal jednomyślnie został wybrany dożywotnim prezydentem europejskich stanów zjednoczonych. A kiedy pojawił się na trybunie w całym blasku swojej nadludzkiej młodej urody i siły i w natchnionych pięknych słowach przedstawił swój uniwersalny program, zafascynowane i urzeczone zgromadzenie w porywie entuzjazmu bez głosowania postanowiło okazać mu najwyższą cześć, wybierając go imperatorem rzymskim. Kongres zakończył się wśród powszechnego uniesienia, a wielki wybraniec wydał manifest zaczynający się od słów: „Narody świata! Pokój mój daję wam!”, a kończący się tak: „Narody świata! Spełniły się obietnice! Wieczny powszechny pokój nastał. Wszelka próba jego zakłócenia spotka się natychmiast z bezwzględny i skutecznym przeciwdziałaniem. Odtąd bowiem – jest na ziemi jedna centralna władza, silniejsza od wszystkich pozostałych władz – każdej z osobna i razem wziętych. To wszechpotężna, nad wszystkim górująca władza należy do mnie pełnomocnego wybrańca Europy, imperatora wszystkich jej sił. Prawo międzynarodowe ma wreszcie brakującą mu dotychczas sankcję. I odtąd żadne państwo nie odważy się powiedzieć: wojna, kiedy ja mówię: pokój. Narody świata – pokój wam!”

Manifest ten miał pożądaną skutek. Wszędzie poza Europą, szczególnie w Ameryce, powstały silne partie imperialistyczne, które zmusiły swoje państwa, aby te na różnych warunkach

przyłączyły się do europejskich stanów zjednoczonych pod zwierzchnią władzą rzymskiego imperatora. Pozostawały jeszcze niezawisłe plemiona i ich naczelnicy gdzieś tam w Azji i Afryce. Imperator na czele niewielkiej, ale doborowej armii, złożonej z rosyjskich, niemieckich, polskich, węgierskich i tureckich pułków, urządza wojenną przechadzkę od wschodniej Azji po Maroko i bez większego przelewu krwi podporządkowuje sobie niesfornych. We wszystkich krajach tych dwóch części świata ustanawia swoich namiestników spośród wykształconych po europejsku i oddanych sobie tamtejszych wielmożów. We wszystkich krajach pogańskich zwyciężona i urzeczona ludność ogłasza go najwyższym bogiem. W ciągu jednego roku powstaje monarchia wszechświatowa we właściwym i ścisłym znaczeniu tego słowa. Korzenie wojny zostają ze szczętem wyrwane. Powszechna liga pokoju zbiera się po raz ostatni i ogłosiwszy entuzjastyczny panegiryk na cześć wielkiego anioła pokoju rozwiązuje się, uznając się za niepotrzebną. W nowym roku swojego panowania rzymski i wszechświatowy imperator wydaje nowy manifest: „Narody świata! Obiecałem wam pokój i dałem go wam. Ale nie ma uroku pokój bez dobrobytu. Komu w czas pokoju grozi nieszczęście nędzy, temu i pokój nie daje radości. Przyjdźcież do mnie teraz wszyscy, którzy cierpicie głód i chłód, a ja was nasycę i ogrzeję”. A potem ogłasza prostą i powszechną reformę społeczną, której projekt był już zarysowany w jego dziele i już tam zachwycił wszystkie szlachetne i trzeźwe umysły. Teraz dzięki skupieniu w swoich rękach światowych finansów i kolosalnych majątków rolnych może on zrealizować tę reformę zgodnie z życzeniem ubogich, a bez namacalnej krzywdy dla bogatych. Każdy zaczyna otrzymywać według swoich zdolności, a każda zdolność według swego trudu i zasług.

Nowy władca ziemi był przede wszystkim litościwym filantropem – i nie tylko filantropem, lecz także filozofem. Sam będąc wegetarianinem, zakazał wiwisekcji, wprowadził surowy nadzór nad rzeźniami i popierał na wszelkie sposoby towarzystwa opieki nad zwierzętami. Ważniejsze od tych szczegółów było trwałe ustanowienie w całym świecie najbardziej podstawowej równości: była to równość powszechnej sytości. Dokonało się to w drugim roku jego panowania. Problem socjalno-ekonomiczny został ostatecznie rozwiązany.

Kiedy wszakże sytość jest pierwszym pragnieniem głodnych, to syty chce się jeszcze czegoś innego. Nawet syte zwierzęta pragną zazwyczaj nie tylko spać, ale i bawić się. Tym bardziej społeczeństwo ludzkie, które zawsze post panem żądało cicenses.

Imperator-nadczłowiek rozumie, co potrzebne jest jego masom. W owym czasie przybywa do niego do Rzymu z Dalekiego Wschodu wielki cudotwórca, spowity w gęsty obłok osobliwych zdarzeń i przedziwnych legend. Według pogłosek, szerzących się wśród neobuddystów, jest on boskiej proweniencji: ma pochodzić od boga Suri i jakiejś rzecznej nimfy.

Cudotwórca ten, imieniem Apoloniusz, człowiek niewątpliwie genialny, pół-Azjata i pół-Europejczyk, biskup katolicki in partibus infidelium, w zadziwiający sposób łączy w sobie zdolność operowania najnowszymi wnioskami i technicznymi zastosowaniami zachodniej nauki ze znajomością i umiejętnością posługiwania się tym wszystkim, co jest rzeczywiście godne uwagi i znaczące w tradycyjnej mistyce Wschodu. Rezultaty takiego połączenia są zdumiewające. Apoloniusz dochodzi między innymi do półnaukowej, półmagicznej sztuki przyciągania i kierowania według swojej woli elektryczności atmosferycznej i

wśród ludzi mówi się, że sprowadza on ogień z nieba (por. Ap 13,13). Zresztą, podniecając fantazję tłumu rozmaitymi i przedziwnymi sztuczkami, nie nadużywa on do czasu swojej mocy dla jakichś szczególnych celów.

Otóż człowiek ten przychodzi do wielkiego imperatora i składa mu pokłon jak prawdziwemu synowi Bożemu, oświadcza, że w tajemnych księgach Wschodu znalazł wyraźne przepowiednie o nim, imperatorze, jako o ostatecznym zbawicielu i sędzim wszechświata, i oddaje mu na służbę siebie i całą swoją sztukę. Urzeczony nim imperator przyjmuje, go jak dar z góry zesłany i ozdobivszy wspaniałymi tytułami już się z nim nie rozłącza. I oto narody świata, obsypane przez swego władcę dobrodziejstwami, oprócz powszechnego pokoju, oprócz powszechnej sytości zyskują jeszcze możliwość ciągłego radowania się najrozmaitszymi i najbardziej nieoczekiwanymi cudami i znakami. Dobiegł końca trzeci rok panowania nadczłowieka.

Po szczęśliwym rozwiązaniu problemu politycznego i słonecznego pojawiła się kwestia religijna. Podniósł ją sam imperator – najpierw w odniesieniu do chrześcijaństwa. W owym czasie chrześcijaństwo znajdowało się w takiej oto sytuacji: Przy bardzo znacznym ilościowym spadku swego stanu posiadania – na całej kuli ziemskiej pozostało nie więcej niż czterdzieści pięć milionów chrześcijan – podniosło się ono i wzmocniło moralnie, zyskując na jakości, to co traciło na ilości. Ludzi, nie związanych z chrześcijaństwem żadną więzią duchową, nie zaliczano już do chrześcijan. Poszczególne wyznania skurczyły się dość równomiernie, tak że zachował się między nimi w przybliżeniu poprzedni stosunek ilościowy. Co się zaś tyczy wzajemnych uczuć, to wprawdzie dawna wrogość nie ustąpiła miejsca

całkowitemu pojednaniu, ale jednak znacznie się złagodziła, a sprzeczności utraciły swoją dawniejszą ostrość.

Papiestwo już dawno było wygnane z Rzymu po dłuższej tułaczce znalazło schronienie w Petersburgu – pod warunkiem, że będzie się powstrzymywać od propagandy tutaj i wewnątrz kraju. W Rosji uległo ono znacznemu uproszczeniu. Nie zmieniając w istotny sposób koniecznego składu swoich kolegów i oficjów, musiało uduchowić charakter ich działalności, a także zredukować do minimum swój pompatyczny rytuał i ceremoniał. Różne dziwne i gorszące zwyczaje, chociaż formalnie nie zniesione, same z siebie wyszły z użycia. We wszystkich innych krajach, zwłaszcza w Ameryce Północnej, hierarchia katolicka miała jeszcze wielu przedstawicieli o silnej woli, niezmożonej energii i niezależnej pozycji, którzy mocniej niż poprzednio zwarli szeregi Kościoła katolickiego i podtrzymywali jego międzynarodowe, kosmopolityczne znaczenie.²

Co się tyczy protestantyzmu, na którego czele nadal stały Niemcy – zwłaszcza po ponownym zjednoczeniu znacznej części Kościoła anglikańskiego z katolickim – to oczyścił się on ze swych skrajnych tendencji negatywnych, których stronnicy otwarcie przeszli w szeregi ludzi religijnie indyferentnych i niewierzących. W Kościele ewangelickim pozostali tylko szczerze wierzący. Na ich czele stały osoby, u których rozległa wiedza łączyła się z głęboką religijnością i coraz usilniejszym dążeniem do tego, aby odrodzić sobie obraz dawnego, autentycznego chrześcijaństwa. Rosyjskie prawosławie po zmianie oficjalnej sytuacji Cerkwi wskutek wydarzeń politycznych straciło wprawdzie wiele milionów swoich pozornych, nominalnych wyznawców, ale za to doznało radości zjednoczenia z najlepszą częścią starowierców, a nawet z licznymi sekciarzami o

nastawieniu pozytywno religijnym. Ta odnowiona Cerkiew, nie wzrastając liczebnie, poczęła rosnać w siłę ducha, którą wykazała szczególnie w swojej wewnętrznej walce z rozplenionymi w narodzie i społeczeństwie skrajnymi sektami, nie pozbawionymi elementów demonicznych i satanicznych.

W ciągu pierwszych dwóch lat nowego panowania wszyscy chrześcijanie, przestraszeni i zmęczeni ciągiem niedawnych rewolucji i wojen, odnosili się do nowego władcy i jego pokojowych reform po części z życzliwym wyczekiwaniem, po części ze zdecydowaną sympatią, a nawet gorącym entuzjazmem. Ale w trzecim roku, z chwilą pojawienia się wielkiego maga, u wielu prawosławnych, katolików i ewangelików poczęło się rodzić poważne zaniepokojenie i niechęć. Poczęto uważniej czytać i żywo komentować teksty ewangeliczne i apostołskie mówiące o księciu tego świata i o Antychryście.

Po pewnych oznakach imperator domyślił się nadciągającej burzy i postanowił co rychlej rzecz wyjaśnić. W początkach czwartego roku panowania wydaje manifest do wszystkich swoich wiernych chrześcijan bez różnicy wyznania, zapraszając ich, aby wybrali lub wyznaczyli swoich pełnomocnych przedstawicieli na sobór powszechny, który odbędzie się pod jego przewodnictwem. Rezydencja została w tym czasie przeniesiona z Rzymu do Jerozolimy. Palestyna stanowiła wtedy autonomiczną prowincję, zasiedloną i zarządzaną głównie przez Żydów.

Jerozolima była niezależna i stała się miastem imperialnym. Chrześcijańskie świątynie pozostały nietknięte, ale na całej rozległej terasie Haram asz-Szarif, od Birkat Isra'il i dzisiejszych koszar z jednej strony po meczet al-Aqsa i „stajnie Salomona” z drugiej, wzniesiono jedną ogromną budowlę, mieszczącą w sobie oprócz dwóch starych niewielkich meczetów – obszerną świątynię

„imperialną” dla jedności wszystkich kultów oraz dwa wspaniałe pałace imperatorskie z bibliotekami, muzeami i oddzielnymi pomieszczeniami do prób i ćwiczeń magicznych.

W tej pół-świątyni, pół-rezydencji miał być czternastego września³ otwarty sobór powszechny. Ponieważ wyznanie ewangelickie nie ma we właściwym sensie tego słowa stanu kapłańskiego, przeto katolicy i prawosławni hierarchowie zgodnie z życzeniem imperatora, aby nadać przedstawicielstwu wszystkich gałęzi chrześcijaństwa jakiś jednorodny charakter, postanowili dopuścić do udziału w soborze pewną liczbę swoich świeckich wiernych, znanych z pobożności i oddania sprawie Kościoła. Skoro zaś dopuszczeni zostali świeccy, to nie można było wykluczyć niższego duchowieństwa – zakonnego i nie zakonnego. Tym sposobem ogólna liczba uczestników soboru przekraczała trzy tysiące osób, a około pół miliona chrześcijańskich pielgrzymów wypełniło Jerozolimę i całą Palestynę.

Wśród ojców soborowych wyróżniało się szczególnie trzech. Po pierwsze, papież Piotr II, zgodnie z prawem stojący na czele katolickiej części członków soboru. Jego poprzednik umarł w drodze na sobór i zebrane w Damaszku konklawe jednogłośnie wybrało kardynała Szymona Barioniniego⁴, który przyjął imię Piotr. Był to człowiek prostego pochodzenia, z prowincji neapolitańskiej, a zasłynął jako kaznodzieja z karmelitańskiego zakonu, mający znaczne zasługi w walce z pewną rozpowszechnioną w Petersburgu i jego okolicach sektą sataniczną, która zwodziła nie tylko prawosławnych, ale i katolików. Mianowany arcybiskupem mohylewskim, a później także kardynałem, był on z góry przewidziany na stolicę papieską. Był człowiekiem pięćdziesięcioletnim, średniego wzrostu i

krzepkiej budowy, z przystojną twarzą, garbatym nosem i gęstymi brwiami. Cechowały go gorące serce i energia, mówił z żarem, zamaszyście przy tym gestykulując, i bardziej słuchaczy porywał, niż przekonywał. Do władcy świata nowy papież żywił nieufność i niechęć, zwłaszcza od chwili, kiedy jego nieżyjący poprzednik, wyjeżdżając na sobór, uległ naleganiom imperatora i mianował kardynałem kanclerza imperium i wielkiego światowego maga, egzotycznego biskupa Apoloniusza, którego Piotr uważał za wątpliwego katolika, a niewątpliwego oszusta.

Rzeczywistym, choć nieoficjalnym przywódcą prawosławnych był starzec Jan, bardzo znany wśród rosyjskiego ludu. Chociaż oficjalnie uważany za biskupa w stanie spoczynku, nie mieszkał jednak w żadnym klasztorze, lecz stale wędrował w różnych kierunkach. Krążyły o nim rozmaite legendy. Niektórzy zapewniali, że jest to zmartwychwstały Fiodor Kuźmicz, czyli imperator Aleksander, urodzony przed około trzema wiekami⁵. Inni posuwali się dalej i twierdzili, iż jest to prawdziwy starzec Jan, tzn. apostoł Jan Teolog, który nigdy nie umarł, a w ostatnich czasach pojawił się otwarcie (por. J 21,22.23). On sam nie mówił nic o swoim pochodzeniu ani o swojej młodości. Obecnie był to bardzo wiekowy, ale rześki staruszek z żółknącą, a nawet zieleniejącą bielą kędziorów i brody, wysokiego wzrostu i szczupłej postaci, ale z pełnymi i lekko różowawymi policzkami, żywymi, błyszczącymi oczami i wzruszająco dobrym wyrazem twarzy i głosem; przyodziany był zawsze w habit i płaszcz zakonny.

Na czele ewangelickich uczestników soboru stał najbardziej uczony niemiecki teolog, profesor Ernst Pauli⁶ – niewielkiego wzrostu chudy staruszek z ogromnym czołem, spiczastym nosem i gładko wygolonym podbródkiem. Jego oczy odznaczały się

jakimś szczególnym, srogo-dobrodusznym spojrzeniem. Co chwilę zacierał on ręce, kręcił głową, unosił groźnie brwi i wydymał wargi; błyskając przy tym oczami, ponuro wydawał z siebie urywane dźwięki: So! nun! ja! so also! Ubrany był uroczyście – w biały halsztuk i długi pastorski surdut z jakimiś znaczkami orderowymi.

Otwarcie soboru było imponujące. Dwie trzecie ogromnej świątyni poświęconej „jedności wszystkich kultów” były wypełnione ławami i innymi siedzeniami dla członków soboru, jedna trzecia była zajęta przez wysokie podium, gdzie oprócz tronu imperatora i drugiego – niżej, dla wielkiego maga, a zarazem kardynała i kanclerza imperium – znajdowały się z tyłu fotele dla ministrów, dworzan i sekretarzy dworu, a z boku długie rzędy krzeseł o nie znanym przeznaczeniu. Na chórze umieszczono orkiestry, a na sąsiadującym ze świątynią placu ustawiono dwa pułki gwardyjskie i baterię armat dla oddania salw honorowych. Ojcowie soborowi odprawili już swoje nabożeństwa w różnych kościołach i otwarcie obrad miało mieć charakter całkowicie świecki. Kiedy wszedł imperator z wielkim magiem i orkiestra zagrała „marsza zjednoczonej ludzkości”, będącego międzynarodowym hymnem imperium, wszyscy uczestnicy soboru powstali z miejsc i machając kapeluszami, po trzykroć głośno zakrzyknęli: Vivat! Ura! Hoch!

Imperator, stojąc obok tronu, wyciągnął rękę gestem majestatycznej łaskawości i przemówił głosem o dźwięcznym i przyjemnym brzmieniu: „Chrześcijanie wszystkich kierunków! Umiłowani moi poddani i bracia! Od początku mego panowania, któremu Najwyższy błogosławił takimi wspaniałymi, pięknymi sukcesami, ani razu nie miałem powodu być z was niezadowolonym; zawsze spełnialiście swój obowiązek wobec

wiary i sumienia. Ale to mi nie wystarcza. Moja szczerą miłość do was, umiłowani bracia, domaga się wzajemności. Pragnę, abyście nie z poczucia obowiązku, lecz powodowani serdeczną miłością uznali mnie za swojego prawdziwego wodza w każdym dziele podejmowanym dla dobra ludzkości. Ponadto oprócz tego, co czynię dla wszystkich, chciałbym okazać wam jakąś szczególną łaskę. Chrześcijanie, czym mógłbym was uszczęśliwić? Co dać wam nie jako moim poddanym, lecz jako współwyznawcom, braciom moim? Chrześcijanie! Powiedzcie mi, co jest dla was najdroższego w chrześcijaństwie, abym mógł ku temu skierować swoje wysiłki”. Przerwał i czekał.

W świątyni dał się słyszeć głuchy szmer. To uczestnicy soboru szeptali między sobą. Papież Piotr, gorączkowo gestykulując, tłumaczył coś swojemu otoczeniu. Profesor Pauli kręcił głową i z rozdrażnieniem cmokał wargami. Starzec Jan, pochyliwszy się nad wschodnim biskupem i kapucynem, po cichu ich o czymś przekonywał.

Odczekawszy kilka minut, imperator zwrócił się do soboru tym samym serdecznym tonem, w którym jednak dźwięczała ledwie uchwytna nutka ironii: „Najmilsi chrześcijanie – powiedział. – Rozumiem, jak trudna jest dla was jedna prosta odpowiedź. Pragnę i w tym wam pomóc. Na nieszczęście, od tak niepamiętnych czasów rozpadliście się na różne odłamy i frakcje, że być może nie macie nawet jednego wspólnego przedmiotu pragnień. Ale skoro nie możecie pogodzić się między sobą, to mam nadzieję, że ja pogodzę wszystkie wasze stronnictwa, okazując im wszystkim jednakową miłość i jednakową gotowość ku temu, by zadośćuczynić autentycznemu pragnieniu każdego z nich. Najmilsi chrześcijanie! Wiem, że dla wielu i nie najpośledniejszych spośród was najdroższy w chrześcijaństwie

jest ten autorytet duchowy, jakiego udziela ono swoim prawowitym przedstawicielom – oczywiście nie dla ich własnej korzyści, lecz dla wspólnego dobra, ponieważ na autorytecie tym opiera się należyty porządek duchowy i konieczna wszystkim dyscyplina moralna. Najmilsi bracia katolicy! O, jakże rozumiem wasze spojrzenie i jakże chciałbym oprzeć swoje imperium na autorytecie waszego duchowego przywódcy! Abyście nie myśleli, że to pochlebstwo i czcze słowa, uroczyście ogłaszam moją samowładną wolę: najwyższy biskup wszystkich katolików, papież rzymski, zostaje od tej chwili przywrócony na swoją stolicę w Rzymie ze wszystkimi prawami i przywilejami tej godności i urzędu, jakie kiedykolwiek były mu nadane przez naszych poprzedników, poczynając od cesarza Konstantyna Wielkiego. Od was zaś, bracia katolicy, chce za to tylko szczerego, z serca płynącego uznania we mnie waszego jedyne go obrońcy i orędownika. Kto z was w swoim sumieniu i odczuciu uznaje mnie za takiego, niechaj przyjdzie tu do mnie”. I wskazał puste miejsce na Podium.

Na te słowa prawie wszyscy książęta Kościoła katolickiego, kardynałowie i biskupi, większa część wiernych świeckich i ponad połowa zakonników z radosnymi okrzykami: Gratias agimur! Domine! salvum fac magnum imperatorem, wyszli na podium i złożwszy niski ukłon w stronę imperatora, zajęli wolne fotele. Lecz na dole, pośrodku świątyni, wyprostowany i nieruchomy jak marmurowy posąg, siedział na swoim miejscu papież Piotr II. Wszyscy, którzy go poprzednio otaczali, byli na podium. Ale pozostała na dole, przerzedzona gromadka mnichów i ludzi świeckich przysunęła się ku niemu, tworząc ciasny pierścień, z którego dochodził powściągany szept: Non praevalerunt, non praevalerunt portae inferni (Mt 16,18).

Spojrzawszy ze zdziwieniem na nieruchomego papieża, imperator przemówił znowu – podniesionym głosem: „Najmilsi bracia! Wiem, że są wśród was również tacy, dla których w chrześcijaństwie najdroższa jest jego święta tradycja, stare symbole, dawne pieśni i modlitwy, ikony i rytuał służby Bożej. Bo i w rzeczy samej: cóż może być dla religijnej duszy droższe od tego? Wiedźcie zatem, umiłowani, że w dniu dzisiejszym podpisałem statut i przeznaczyłem sowite środki dla powszechnego muzeum archeologii chrześcijańskiej w znakomitym mieście naszego imperium, Konstantynopolu, w celu zbierania, badania i przechowywania wszelkich zabytków przeszłości Kościoła, zwłaszcza wschodniego. Was zaś proszę, abyście jutro wybrali spośród siebie komisję, która omówi ze mną kroki, jakie należy podjąć dla ewentualnego zbliżenia współczesnego sposobu życia, zwyczajów i obyczajów, do tradycji i przepisów świętego Kościoła prawosławnego. Bracia prawosławni! Komu miła jest ta moja wola, kto z głębi serca może nazwać mnie swoim prawdziwym władcą i panem, niechaj przyjdzie tutaj”.

I znaczna część hierarchów Wschodu i Północy, połowa byłych starowierców i przeszło połowa prawosławnych księży, mnichów i świeckich z radosnymi okrzykami wyszła na podium, spoglądając zezem na katolików, którzy tam dumnie zasiedli. Ale starzec Jan nie ruszał się i głośno wzdychał. I kiedy tłum wokół niego mocno się przerzedził, powstał ze swojej ławy i przesiadł się bliżej papieża Piotra i jego gromadki. Za nim pospieszyła też reszta prawosławnych, którzy nie poszli na podium.

I znowu przemówił imperator: „Wiadomo mi najmilsi chrześcijanie, również o takich spośród was, którzy najbardziej cenią w chrześcijaństwie osobiste przekonanie o prawdzie i wolne

badania nad Pismem. Jak ja na tę sprawę patrzę – nad tym nie ma potrzeby się rozwodzić. Wiecie, być może, iż – jeszcze we wczesnej młodości napisałem duże dzieło z zakresu krytyki biblijnej, które wznieciło w owym czasie pewną sensację i dało początek mojej popularności. I oto w tych dniach – przypuszczalnie pamiętając o tym – uniwersytet w Tybindze zwraca się do mnie prośbą, abym przyjął od niego tytuł doktora teologii honoris causa. Kazałem odpowiedzieć, że z zadowoleniem i wdzięcznością przyjmuję. A dzisiaj, jednocześnie z erekcją, muzeum chrześcijańskiej archeologii, podpisałem akt założenia światowego instytutu dla wolnych badań – nad Pismem Świętym we wszelkich możliwych aspektach i we – wszystkich możliwych kierunkach oraz dla studiów z dziedziny wszystkich nauk pomocniczych – z rocznym budżetem w wysokości półtora miliona marek. Komu z was miła taka moja skłonność i kto może czystym sercem uznać mnie za swojego najwyższego wodza, proszę tutaj, do nowego doktora teologii”.

I piękne usta wielkiego człowieka nieznacznie skrzywił jakiś dziwny uśmiech. Przeszło połowa uczonych teologów ruszyła ku podium aczkolwiek z pewnym ociąganiem i wahaniem. Wszyscy oglądali się na profesora Pauli, który jakby wrośnięty w swoją ławkę, spuścił nisko głowę, zgarbił się i skulił. Uczni teolodzy, którzy wyszli na podium, byli wyraźnie – zażenowani, a jeden z nich machnął nagle ręką i zeskoczywszy wprost na dół z ominięciem schodów, utykając, pobiegł ku profesorowi Pauli i pozostałej przy nim mniejszości. Ten podniósł głowę, wstał z jakimś nieokreślonym ruchem przeszedł wraz ze swymi współwyznawcami wzdłuż opustoszałych ław i przysiadł się bliżej do starca Jana i papieża Piotra.

Znaczna większość soboru, w tym prawie wszyscy hierarchowie Wschodu i Zachodu, znajdowała się na podium. Na dole pozostały tylko trzy skupione razem grupki ludzi, zbite w krąg wokół starca Jana, papieża Piotra i profesora Pauli.

Smutnym tonem zwrócił się do nich imperator: „Cóż jeszcze mogę dla was uczynić? Dziwni ludzie! Czego ode mnie chcecie? Nie wiem. Powiedzcie mi więc sami – wy, chrześcijanie, porzuceni przez większość swoich braci i przywódców, potępieni w odczuciu ludu: co jest dla was najdroższe w chrześcijaństwie?”

W tym momencie podniósł się, niczym biała świeca, starzec Jan i odrzekł łagodnie: „Miłościwy panie! Najdroższy jest dla nas w chrześcijaństwie sam Chrystus – On sam i wszystko, co od Niego, wiemy bowiem, że w Nim zamieszkuje cielesnie cała pełnia Bóstwa. Ale i od ciebie, panie, gotowi jesteśmy przyjąć wszelkie dobro, jeśli tylko w szczodrej twojej dłoni rozpoznamy świętą dłoń Chrystusa. I na pytanie twoje, co możesz dla nas uczynić, taka jest oto nasza prosta odpowiedź: wyznaj tutaj, teraz, przed nami Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, który przyszedł w cielesnej postaci, zmartwychwstał i ponownie przyjdzie – wyznaj Go, a my z miłością przyjmimy cię jako prawdziwego zwiastuna Jego drugiego przyjścia w chwale”.

Umilkł i utkwiał spojrzenie w obliczu imperatora. Z tym działo się coś niedobrego. W jego duszy rozpętała się taka sama piekielna burza jak tamta, którą przeżył w ową decydującą noc. Stracił zupełnie wewnętrzną równowagę i wszystkie swoje myśli skoncentrował na tym, aby nie utracić również zewnętrznego panowania nad sobą i nie zdradzić się przed czasem. Czynił nadludzkie wysiłki, by się nie rzucić z dzikim krzykiem na starca Jana i nie wpić się w niego zębami. Nagle usłyszał znany nieziemski głos: „Milcz i nic się nie bój”. Milczał. Tylko

zmartwiała i pociemniała jego twarz cała się wykrzywiła, a z oczu tryskały iskry. Tymczasem podczas przemówienia starca Jana wielki mag, który siedział szczelnie otulony w swoją ogromną trójbarwną opończę skrywającą kardynalską purpurę, jakby dokonywał pod nią jakichś manipulacji; jego oczy błyszczały skupieniem, a wargi poruszały się.

Wtem przez otwarte okna świątyni dała się ujrzeć nadciągająca ogromna czarna chmura i zaraz wszystko pociemniało. Starzec Jan nie spuszczał zdumionych i przerażonych oczu z oblicza milczącego imperatora. Nagle cofnął się ze zgrozą, odwrócił do tyłu i krzyknął zdławionym głosem: „Dzieci, to Antychryst!”

W tej chwili jednocześnie z ogłuszającym hukiem grzmotu w świątyni rozbłysła ogromna kulista błyskawica i okryła sobą starca. Na moment wszystko zamarło, a kiedy ogłuszeni chrześcijanie przyszli do siebie, starzec Jan leżał martwy.

Imperator, blady, ale spokojny, zwrócił się do zgromadzenia: „Widzieliście sąd Boży. Nie chciałem niczyjej śmierci, ale Ojciec mój niebieski mści się za swego umiłowanego syna. Sprawa załatwiona. Któż będzie stawiał przeciw Najwyższemu? Sekretarze! zapiszcie: Sobór powszechny wszystkich chrześcijan, po porażeniu ogniem z nieba obłąkanego przeciwnika Boskiego majestatu, jednogłośnie uznał wszechpotężnego imperatora Rzymu i całego świata za swego najwyższego władcę i pana”.

Nagle w świątyni rozległo się jednogłośnie i wyraźne słowo: Contradicitur. Papież Piotr II wstał i z twarzą oblaną szkarłatem, cały trzęsąc się z gniewu, wznosił swój pastorał w stronę imperatora: „Naszym jedynym Panem jest Jezus Chrystus, Syn Boga żywego. A kim jesteś ty – słyszałeś. Precz od nas, Kainie bratobójco! Precz, naczynie diabelskie! Mocą Chrystusową ja,

sługa sług Bożych, na zawsze wypędzam cię, nikczemnego psa, z zagrody Pańskiej i oddaję w ręce ojcu twemu, Szatanowi! Anatema, anatema, anatema!”

W czasie kiedy on mówił, wielki mag poruszał się niespokojnie pod swoją opończę; naraz głośniejsze od ostatniej anatemy zagrzemiał piorun i ostatni papież padł bez życia. „Tak oto z ręki ojca mego zginą wszyscy moi wrogowie” – powiedział imperator. Pereant, pereant! – zakrzyknęli drżący księżęta Kościoła, on zaś odwrócił się i wsparty na ramieniu wielkiego maga, ruszył ku drzwiom za podium; za nim wyszedł cały tłum jego zwolenników.

W świątyni pozostało dwoje zwłok i zbита gromada półżywych ze zgrozy chrześcijan. Jedyną osobą, która zachowała zimną krew, był profesor Pauli. Ogólne przerażenie jakby obudziło w nim wszystkie siły ducha. Zmienił się też zewnętrznie: przybrał wygląd majestatyczny i natchniony. Zdecydowanym krokiem wszedł na podium i usiadłszy na jednym z opuszczonych miejsc sekretarzy dworu, wziął arkusz papieru i zaczął coś na nim pisać. Kiedy skończył, wstał i donośnym głosem odczytał: „Ku chwale jedynego Zbawiciela naszego, Jezusa Chrystusa. Sobór powszechny Kościołów Bożych, zebrany w Jerozolimie – wobec tego, że wielce błogosławiony brat nasz Jan, głowa chrześcijaństwa wschodniego, zdemaskował wielkiego zwodziciela i nieprzyjaciela Boga jako prawdziwego Antychrysta, którego zapowiedziało słowo Boże, a najświętobliwszy ojciec nasz Piotr, głowa chrześcijaństwa zachodniego, zgodnie z duchem i literą prawa wykluczył go na zawsze z Kościoła Bożego – u zwłok tych dwóch zabitych za prawdę świadków Chrystusa postanawia niniejszym: przerwać wszelkie obcowanie z wyklętym i jego obrzydliwą zgrają i odszedłszy na pustynię oczekiwać

niechybnego przyjścia prawdziwego Pana naszego, Jezusa Chrystusa”.

Obecnych ogarnął zapal i odezwały się głośnie okrzyki: Adveniat! Adveniat cito! Komm. Herr Jesu, Komm! Przyjdź, Panie Jezu!

Profesor Pauli dopisał jeszcze parę słów i przeczytał: „Przyjawszy jednogłośnie ten pierwszy i ostatni akt ostatniego soboru powszechnego, podpisujemy go swymi imionami” – i zapraszająco skinął na zebranych. Wszyscy wchodzili spieszenie na podwyższenie i podpisywali się. Ostatni podpis, złożony dużym, gotyckim pismem, brzmiał: Duorum defunctorum testium locum tenens Ernst Pauli. „A teraz pójdźmy z naszą arką ostatniego Przymierza!” – powiedział profesor Pauli, wskazując na dwóch zmarłych.

Ciała wzięto na nosze. Powoli, przy śpiewie łacińskich, niemieckich i cerkiewnosłowiańskich hymnów chrześcijańskich skierowali się ku wyjściu z Haram asz-Szarif. Tutaj zatrzymał ich wysłany przez imperatora sekretarz dworu w towarzystwie oficera z plutonem gwardii.

Żołnierze stanęli u wejścia, a sekretarz dworu odczytał z podwyższenia: „Rozkaz Jego Boskiej Mości: dla pouczenia ludu chrześcijańskiego i uchronienia go przed niegodziwymi ludźmi, siejącymi zamęt i zgorszenie, uznajemy za właściwe trupy dwóch buntowników, zabitych przez ogień niebieski, wystawić na widok publiczny na ulicy Chrześcijan (Harit an-Nassara), u wejścia do głównej świątyni tej religii, zwanej kościołem Grobu Pańskiego albo Zmartwychwstania, aby wszyscy mogli się przekonać o ich rzeczywistej śmierci. Trwającym zaś w uporze ich poplecznikom, złośliwie odrzucającym wszystkie nasze dobrodziejstwa i bezrozumnie zamykającym oczy na jawne znaki samego bóstwa,

zostaje dzięki naszemu miłosierdziu i za sprawą naszego wstawiennictwa u ojca niebieskiego darowana kara śmierci, przez ogień z nieba, na jaką zasłużyli, i dana zupełna wolność, a jedynie zakazuje się im – dla ogólnego dobra – zamieszkiwać w miastach i innych osiedlach, aby nie wprowadzali zamętu i pokus w serca niewinnych i prostodusznych ludzi swymi złośliwymi kłamstwami”. Kiedy skończył, ośmiu żołnierzy na znak oficera podeszło do noszy z ciałami.

„Niech się spełni, co jest napisane!” – powiedział profesor Pauli i chrześcijanie trzymający nosze w milczeniu oddali je żołnierzom, którzy oddalili się przez północno – zachodnią bramę (por. Ap 11,3.7-11).

Chrześcijanie zaś, wyszedłszy bramą północno – wschodnią i mijając Górę Oliwną, śpiesznie udali się z miasta w kierunku Jerycha drogą, z której uprzednio żandarmi i dwa kawaleryjskie pułki usunęły tłumy ludu. Na pustynnych wzgórzach w okolicy Jerycha postanowiono przeczekać kilka dni. Następnego ranka przybyli z Jerozolimy znajomi chrześcijanie pielgrzymi i opowiedzieli, co się działo na Syjonie.

Otóż po dworskim obiedzie wszystkich członków soboru zaproszono do ogromnej sali tronowej (wokół przypuszczalnego miejsca Salomonowego tronu) i imperator, zwracając się do przedstawicieli hierarchii katolickiej, oznajmił im, że dobro Kościoła w sposób oczywisty wymaga od nich niezwłocznego wybrania godnego apostoła Piotra, że z uwagi na okoliczności czasu wybór powinien się odbyć w sposób uproszczony, że obecność jego, imperatora, jako wodza i przedstawiciela całego świata chrześcijańskiego, z nawiązką wyrówna kanoniczne uchybienia i że on w imieniu wszystkich chrześcijan proponuje świętemu kolegium, wybranie jego umiłowanego przyjaciela i

brata Apoloniusza, aby ich ścisły związek umocnił i uczynił nierozzerwalną jedność Kościoła i państwa dla dobra obojga.

Święte kolegium udało się do osobnego pokoju celem odbycia konklawe i po półtorej godzinie powróciło stamtąd z nowym papieżem Apoloniuszem. W czasie, kiedy odbywał się wybór, imperator dobrotliwie, mądrze i elokwentnie przekonywał przedstawicieli ewangelickich i prawosławnych, że w obliczu nowej, wielkiej ery dziejów chrześcijaństwa trzeba skończyć z dawnymi sporami, ręcząc swoim słowem, że Apoloniusz potrafi raz na zawsze zlikwidować wszystkie znane w historii nadużycia władzy papieskiej. Przekonani tym wywodem, przedstawiciele prawosławia i protestantyzmu sporządzili akt zjednoczenia Kościołów i kiedy Apoloniusz z kardynałami ukazał się w komnacie wśród radosnych okrzyków całego zgromadzenia, grecki archijerej i pastor ewangelicki wręczyli mu swój dokument.

Accipio et aprobo et laetificatur cor meum – powiedział Apoloniusz, podpisując go. „Jestem równie szczerym prawosławnym i szczerym ewangelikiem, jak jestem szczerym katolikiem” – dodał i przyjaźnie ucałował Greka i Niemca. Następnie podszedł do imperatora, który go objął i długo trzymał w swoich objęciach.

W tym czasie poczęły latać po pałacu i świątyni we wszystkich kierunkach jakieś świetlne punkty, które rosły i zamieniały się w jaśniejące kształty dziwnych istot. Z góry posypały się niespotykane na ziemi kwiaty, napęlniając powietrze nieznanym zapachem. Gdzieś w górze rozległy się cudowne, wprost do duszy płynące i chwytające za serce dźwięki nie słyszanych instrumentów, a anielskie głosy niewidzialnych śpiewaków sławiły nowych władców nieba i ziemi.

W pewnej chwili rozległ się straszny podziemny harmider w północno – zachodnim kącie środkowego pałacu pod qubbat al-arwah, tzn. kopułą dusz, gdzie wedle muzułmańskich podań znajdowało się wejście do piekła. Kiedy zebrani na skinienie imperatora ruszyli w tamtą stronę, wszyscy usłyszeli wyraźnie niezliczone głosy, ostre i przenikliwe – ni to dziecięce, ni diabelskie – wołające: „Przyszła pora, wypuście nas, zbawcy, zbawcy!” Ale kiedy Apoloniusz, przypadłszy do skały, trzykroć zawołał coś na dół w nie znanym języku, głosy umilkły i podziemny zgiełk ustał.

Tymczasem niezmierny tłum otoczył ze wszystkich stron Haram asz-Szarif. Z nastaniem nocy imperator wyszedł wraz z nowym papieżem na wschodni ganek, wzniecając „burzę uniesienia”. Kłaniał się uprzejmie na wszystkie strony, podczas gdy Apoloniusz brał nieprzerwanie z dużych koszów, przynoszonych mu przez kardynałów-diakonów, i rzucał w powietrze zapalające się od dotknięcia jego dłoni wspaniałe rzymskie świece, race i ogniste fontanny – to fosforyzująco-perliste, to jasnotęczowe – a wszystko to, dotykając ziemi, zamieniało się w niezliczone różnobarwne kartki z całkowitym i absolutnym odpuszczeniem wszystkich grzechów dawnych, obecnych i przyszłych⁷. Owacje tłumowi przeszły wszelkie granice. Co prawda niektórzy twierdzili, jakoby widzieli na własne oczy, jak indulgencje te przemieniały się w obrzydliwe żaby i węże. Tym niemniej ogromna większość była rozentuzjasmowana, a ludowe uroczystości trwały jeszcze przez kilka dni, przy czym nowy papież-cudotwórca dokonywał rzeczy tak przedziwnych i nieprawdopodobnych, że opowiadanie o nich byłoby zupełnie niepotrzebne.

W tym samym czasie u stóp pustynnych wzgórz Jerycha chrześcijanie oddawali się postowi i modlitwie. Wieczorem czwartego dnia, kiedy zapadł zmrok, profesor Pauli z dziewięcioma towarzyszami na osłach i z wozem przedostali się ukradkiem do Jerozolimy, bocznymi uliczkami obok Haram asz-Szarif wyjechali na Harit an-Nassara i podeszli ku wejściu do kościoła Zmartwychwstania, gdzie na bruku leżały ciała papieża Piotra i starca Jana. Na ulicy było w tym czasie pusto, całe miasto poszło do Haram asz-Szarif. Żołnierze trzymający straż spali głębokim snem. Przybysze stwierdzili, że ciała są nietknięte rozkładem, a nawet nie zeszywniały i nie stały się cięższe. Złożyli je na nosze i owinąwszy przyniesionymi ze sobą płaszczami, tą samą okreśną drogą wrócili do swoich. Ale ledwie opuścili nosze na ziemię, w zmarłych wstąpił duch życia.

Poruszyli się, próbując zrzucić z siebie okrywające ich płaszcze. Wszyscy z radosnymi okrzykami jęli im pomagać i po chwili obaj stanęli na nogi, cali i zdrowi. I przemówił ożyły starzec Jan: „A więc, dzieci, jednak nie rozstaliśmy się. A oto co wam teraz powiem: czas spełnić ostatnią modlitwę Chrystusa, w której prosił, aby uczniowie Jego byli jedno jak On sam jest jedno z Ojcem. Zatem dla tej Chrystusowej jedności uczcijmy, dzieci, umiłowanego brata naszego Piotra. Niechaj na koniec pasie owce Chrystusowe. Pójdź, bracie!” I objął Piotra. W tej chwili podszedł profesor Pauli: Tu es Petrus! – powiedział, zwracając się do papieża. – Jetzt ist es ja gründlich erwiesen und ausser jedem Zweifel gesetzt. I mocno uścisnął jego dłoń swoją prawicą, lewą zaś rękę podał starcowi Janowi ze słowami: So also, Väterchen, nun sind wir ja eins in Christo. Tak dokonało się zjednoczenie Kościołów wśród ciemnej nocy, na wysokim i ustronnym miejscu.

Ale nocna ciemność rozświetliła się nagle jasnym blaskiem i wielki znak ukazał się na niebie: Niewiasta obleczone w słońce, księżyc pod jej stopami, a na jej głowie wieniec z gwiazd dwunastu. Zjawisko trwało przez pewien czas nieruchomo, a potem z wolna poczęło się przesuwając ku południowi (Ap 12,1-6).

Papież Piotr wzniósł swój pastorał i zawołał: „Oto nasz sztandar! Pójdźmy za nim”. I poszedł w kierunku zjawy, a za nim obaj starcy i cała gromada chrześcijan – ku Bożej górze Synaj... (Tutaj czytający przerwał.)

Dama: Dlaczego nie czyta pan dalej?

P.Z.: Bo rękopis się urywa. Ojciec Pansofij nie zdążył dokończyć swojej opowieści. Będąc już chory, opowiadał mi, co chciał pisać dalej – „zaraz jak tylko wyzdrowieję”. Ale nie wyzdrowiał i zakończenie jego opowieści jest pogrzebane razem z nim w Daniłowskim klasztorze.

Dama: Ale przecież pamięta pan, co panu mówił, więc proszę opowiedzieć.

P.Z.: Pamiętam tylko w głównych zarysach. Kiedy duchowi przywódcy i przedstawiciele chrześcijaństwa odeszli na Pustynię Arabską, gdzie ze wszystkich stron schodziły się do nich tłumy wiernych wyznawców prawdy, nowy papież bez przeszkód demoralizował swoimi cudami i dziwami wszystkich pozostałych, powierzchownych chrześcijan, którzy się na Antychryście nie poznali. Oznajmił on, że mocą swoich kluczy otworzył wrota między światem ziemskim a pozagrobowym – i rzeczywiście: obcowanie żywych z umarłymi oraz ludzi z demonami stało się czymś zwykłym i rozwinęły się nowe, niespotykane rodzaje mistycznej rozwiązłości i demonolatrii.

Ale zaledwie imperator poczuł się mocny na gruncie religijnym i wskutek usilnych zachęt tajemniczego „ojcowskiego

głosu ogłosił siebie jedynym prawdziwym ucieleśnieniem najwyższego bóstwa wszechświata, przyszła na niego nowa bieda – ze strony, z której nikt się jej nie spodziewał: zbuntowali się Żydzi.

Naród ów, którego liczebność doszła w owym czasie – do trzydziestu milionów, miał pewien swój udział w przygotowaniu i umocnieniu światowych sukcesów nadczłowieka. Kiedy ten przeniósł się do Jerozolimy, skrycie podsycając w środowisku żydowskim pogłoski o tym, że jego głównym zadaniem jest ustanowienie światowego panowania Izraela, Żydzi uznali go za Mesjasza i ich entuzjastyczne oddanie dla niego nie miało granic.

I nagle powstał przeciw niemu, pałając gniewem i zemstą. Zwrot ten, niewątpliwie zapowiedziany już i w Piśmie, i w Tradycji, został przedstawiony przez ojca Pansofija być może w sposób zbyt uproszczony i nadmiernie realistyczny.

Rzecz w tym, iż Żydzi, uważający imperatora za pełnego, czystej krwi Izraelitę, odkryli przypadkiem, że nawet nie jest on obrzezany. Tego samego dnia cała Jerozolima, a następnego cała Palestyna stanęły w ogniu powstania. Bezgraniczne i gorące oddanie dla zbawcy Izraela, obiecanego Mesjasza zamieniło się w równie bezgraniczną i równie gorącą nienawiść do perfidnego oszusta, zuchwałego samozwańca. Wszyscy Żydzi powstałi jak jeden mąż i nieprzyjaciele ich ujrzeni ze zdumieniem, że dusza Izraela w swojej głębi żyje nie wyrachowaniem i żądzą Mamony, lecz mocą serdecznego uczucia – nadzieją i gniewem swojej odwiecznej mesjańskiej wiary.

Imperator, nie spodziewający się w tej chwili takiego wybuchu, stracił panowanie nad sobą i wydał dekret skazujący na śmierć wszystkich krnąbrnych Żydów i chrześcijan. Wiele tysięcy i dziesiątki tysięcy tych, którzy nie zdążyli się uzbroić, bezlitośnie

wymordowano. Wkrótce jednak milionowa armia Żydów zawładnęła Jerozolimą i osaczyła Antychrysta w Haram asz-Szarif.

Miał on przy sobie tylko część gwardii, która nie mogła skutecznie stawić czoła masie nieprzyjaciela. Przy pomocy czarodziejskiego kunsztu swojego papieża zdołał jednak przedostać się przez szeregi oblegających i wkrótce pojawił się znowu w Syrii z nieprzebranym wojskiem złożonym z różnoplemiennych pogan. Żydzi wyszli mu na spotkanie, mając niewielkie szanse zwycięstwa.

Ledwie jednak poczęły się do siebie zbliżać przednie straże obu armii, nastąpiło trzęsienie ziemi o niebywalej sile. Pod Morzem Martwym, wokół którego stanęły wojska imperium, otwarł się krater ogromnego wulkanu i ogniste strumienie, złączywszy się w jedno morze płomieni, pochłonęły i samego imperatora, i wszystkie jego niezliczone pułki, i nieodłącznie towarzyszącego mu papieża Apoloniusza, któremu na niewiele się zdała cała jego magia (Ap 19,20).

Tymczasem Żydzi uciekali do Jerozolimy, z lękiem i drżeniem prosząc o ratunek Boga Izraela. Kiedy święte miasto ukazało się już ich oczom, wielka błyskawica rozdarła niebo od wschodu do zachodu i ujrzeli Chrystusa, zstępującego ku nim w królewskiej szacie i z ranami od gwoździ na rozpostartych rękach (Mt 24,27.30). W tym samym czasie od Syjonu zmierzał ku Syjonowi tłum chrześcijan, na którego czele szli Piotr, Jan i Paweł, a z różnych stron nadchodziły jeszcze inne rozradowane tłumy: byli to wszyscy uśmierceni przez Antychrysta Żydzi i chrześcijanie. Ożyli i zapanowali z Chrystusem na tysiąc lat (Ap 20,4).

Na tym ojciec Pansofij zamierzał skończyć swoją opowieść, która miała za temat nie powszechną katastrofę kosmosu, lecz tylko epilog naszego procesu historycznego, który zawiera w sobie pojawienie się, triumf i upadek Antychrysta.

Polityk: I pan sądzi, że epilog ten jest tak bliski?

P.Z.: No, wiele będzie jeszcze na scenie gadaniny i krzątania, jednakże dramat jest od dawna napisany cały do końca i ani widzowie, ani aktorzy niczego nie mogą już w nim zmienić.

Dama: Ale na czym polega ostatecznie sens tego dramatu? I nie rozumiem jednak, dlaczego pański Antychryst tak nienawidzi Boga, choć sam jest w istocie dobry, a nie zły.

P.Z.: Otóż to właśnie, że nie w istocie. Na tym też polega cały sens. I cofam to, co powiedziałem poprzednio, że „Antychrysta nie da się przedstawić samymi tylko przysłowiami”. Można go całego przedstawić przy pomocy jednego, i to niezwykle prostego przysłowia: „Nie wszystko złoto, co się świeci”. Blasku ma przecież to fałszywe dobro aż nadto, zaś rzeczywistej mocy – żadnej.

Generał: Ale zauważcie też państwo, po jakiej scenie spada kurtyna w tym historycznym dramacie: po scenie wojny, spotkania dwóch wojsk! I oto na końcu rozmowa nasza wróciła do swojego początku. Jak się to panu podoba, książę?... W imię Ojca i Syna! A gdzież książę?

Polityk: Nie widział pan? Wyniósł się cichcem w owym patetycznym miejscu, kiedy to starzec Jan przycisnął Antychrysta do muru. Nie chciałem wtedy przerywać czytania, a potem zapomniałem.

Generał: Uciekł, dalibóg, drugi raz uciekł. A jak się przemagał! Ale tej próby nie wytrzymał. Ej, Boże, Boże!

Trzy Rozmowy, Przedmowa

Czy zło jest tylko naturalnym brakiem, niedoskonałością, która znika sama przez się w miarę wzrastania dobra, czy też jest ono rzeczywistą siłą, co poprzez pokusy włada naszym światem, tak że dla skutecznej z nim walki trzeba mieć punkt oparcia w innym porządku istnienia? Ten życiowy problem można szczegółowo badać i rozwiązywać jedynie w ramach całego systemu metafizycznego. Pracować nad nim zacząłem dla tych, którzy są zdolni i skłonni do refleksji, czułem wszakże, jak bardzo problem zła jest ważny dla wszystkich. Mniej więcej dwa lata temu szczególna zmiana w nastroju ducha, nad którą rozwodzić się nie ma tutaj potrzeby, wzbudziła we mnie silne i trwałe pragnienie, aby naświetlić w sposób poglądowy i ogólnie przystępny te główne strony problemu zła, które muszą dotyczyć każdego. Przez długi czas nie znajdowałem stosownej formy dla wykonania swego zamysłu. Aliści wiosną 1899 roku, za granicą, naraz ułożyłem i napisałem pierwszą rozmowę na ten temat, a następnie, po powrocie do Rosji, powstały dwa następne dialogi. W ten sposób sama z siebie wynikła ta forma literacka jako najprostszy wyraz dla tego, co chciałem powiedzieć. Owa forma przygodnej towarzyskiej rozmowy dostatecznie jasno wskazuje na to, że nie należy tu szukać ani naukowo-filozoficznej rozprawy, ani religijnego kazania. Moje zadanie tutaj ma raczej charakter apologetyczny i polemiczny: chciałem w miarę swoich możliwości przedstawić dobitnie związane z problemem zła życiowe momenty prawdy chrześcijańskiej, które – zwłaszcza w ostatnim czasie – są z różnych stron zaciemniane.

Wiele lat temu przeczytałem informację o nowej religii powstałej gdzieś we wschodnich guberniach. Religia ta, której

wyznawcy zwali się wiertidyrynikami (dziurowiertami) albo dyromolajami (dziuromódlcami), polegała na tym, że ludzie ci wiercili w jakimś ciemnym kącie w ścianie chaty dziurę średniej wielkości i przykładając do niej usta powtarzali wytrwale: Chato moja, dziuro moja, zbaw mnie! Nigdy jeszcze, jak się wydaje, przedmiot boskiej czci nie osiągnął tak skrajnego stopnia uproszczenia. O ile wszakże ubóstwienie zwykłej chłopskiej chałupy i zwyczajnego, ludzkimi rękami wykonanego otworu w jej ścianie jest oczywistym błędem, to trzeba powiedzieć, że był to błąd uczciwy; ludzie ci popełniali dziwaczne szaleństwo, ale nikogo nie wprowadzali w błąd: o chacie mówili przecież jako o chacie, a miejsce wywiercone w jej ścianie zgodnie z prawdą nazywali dziurą.

Ale religia dziuromódlców wkrótce doznała „ewolucji” i uległa „transformacji”. Również w swojej nowej postaci zachowała ona pierwotną nikłość myśli religijnej i ciasnotę zainteresowań filozoficznych, pierwotny przyziemny realizm, ale utraciła pierwotną uczciwość: chata otrzymała teraz miano „królestwa Bożego na ziemi”, dziurę zaczęto nazywać „nową ewangelią”, a co najgorsze, różnicę między tą ewangelią rzekomą a prawdziwą – zupełnie taką samą, jak między wywierconą w belce dziurą a żywym i całym drzewem – tę istotną różnicę nowi ewangelisci starali się wszelkimi sposobami i przemilczeć, i zagadać.

Oczywiście nie twierdzę, że istnieje jakiś bezpośredni historyczny czy „genetyczny” związek między pierwotną sektą dziuromódlców a głoszeniem rzekomego królestwa Bożego i rzekomej ewangelii. Zresztą nie ma to znaczenia dla mojego prostego zamiaru, aby ukazać pogłądowo rzeczywistą tożsamość dwóch „doktryn” – z tą różnicą moralną, o której wspomniałem.

Tożsamość zaś polega tutaj na czysto negatywnym i beztreściowym charakterze obu „światopoglądów”. Chociaż „inteligentni” dziuromódlcy nazywają siebie nie dziuromódlcami, lecz chrześcijanami, a to, co głoszą, nazywają ewangelią, to przecież chrześcijaństwo bez Chrystusa i ewangelia, to znaczy dobra nowina, bez tego dobra, które warto by głosić, a mianowicie bez rzeczywistego zmartwychwstania do pełni szczęśliwego życia, jest takim samym pustym miejscem, jak zwykła dziura wywiercona w chłopskiej chacie. O tym wszystkim można byłoby nawet nie mówić, gdyby nad racjonalistyczną dziurą nie zatknięto fałszywego chrześcijańskiego sztandaru, zwodzącego i dezorientującego wielu maluczkich. Kiedy ludzie sądzący i ukradkiem twierdzący, że Chrystus przestarzał się, został w tyle, albo że Go w ogóle nie było, że jest to mit wymyślony przez apostoła Pawła, jednocześnie w dalszym ciągu nazywają siebie „prawdziwymi chrześcijanami”, a głoszenie swojego pustego miejsca przesłaniają przekreślonymi słowami ewangelicznymi, to nie ma już miejsca na obojętność i pobłażliwe lekceważenie: wobec zatrucia atmosfery moralnej systematycznym fałszem sumienie społeczne głośno się domaga, aby zła rzecz została nazwana swoim prawdziwym imieniem. Rzeczywistym zadaniem polemiki nie jest tutaj obalenie rzekomej religii, lecz zdemaskowanie faktycznego oszustwa.

Oszustwa tego nie można niczym usprawiedliwić. Między mną jako autorem trzech utworów zakazanych przez cenzurę duchowną a tymi wydawcami wielu zagranicznych książek, broszur i pism ulotnych nie może być na serio mowy o zewnętrznych przeszkodach dla pełnej szczerości w tych sprawach. Trwające u nas ograniczenia wolności religijnej to jedna z największych dla mnie udręk, dlatego że widzę i czuję, jak

całe to zewnętrzne skrępowanie jest szkodliwe i uciążliwe nie tylko dla tych, którzy mu podlegają, lecz głównie dla sprawy chrześcijańskiej w Rosji, a zatem dla narodu rosyjskiego, a zatem i dla państwa rosyjskiego.

Żadna jednak sytuacja zewnętrzna nie może przeszkodzić przekonanemu i rzetelnemu człowiekowi w wypowiedzeniu do końca swego przekonania. Jeśli nie można tego zrobić u siebie w kraju, to można za granicą – a któż bardziej od głosicieli rzekomej ewangelii korzysta z tej możliwości, kiedy chodzi o praktyczne problemy polityki i religii? Co się zaś tyczy głównej, podstawowej kwestii, to dla powstrzymania się od nieszczerości i fałszu nie potrzeba nawet jechać za granicę: przecież żadna rosyjska cenzura nie żąda wyrażania przekonań, których się nie ma, udawania wiary w to, w co się nie wierzy, miłości i czci dla tego, co się ma w pogardzie i nienawiści. Rzetelność względem pewnej osoby historycznej i Jej dzieła wymagała od głosicieli pustki w Rosji tylko jednego: by o tej postaci milczeli, by Ją „ignorowali”. Ale o dziwo! Ludzie ci nie chcą w tej sprawie skorzystać ani z wolności milczenia u siebie w kraju, ani z wolności słowa za granicą. I tu, i tam wolą zewnętrznie trzymać się Chrystusowej ewangelii; i tu, i tam nie chcą ani wprost – zdecydowanym słowem, ani pośrednio – wymownym milczeniem, uczciwie ukazać swego prawdziwego stosunku do założyciela chrześcijaństwa, że mianowicie jest On im zupełnie obcy, do niczego niepotrzebny i stanowi dla nich tylko zawadę.

Z ich punktu widzenia to, co oni głoszą, jest samo z siebie dla każdego zrozumiałe, pożądane i zbawienne. Ich „prawda” opiera się sama na sobie, a jeśli pewna osoba historyczna jest z nią zgodna, to tym lepiej dla Niej, fakt ten wszakże nie może uczynić z Niej najwyższego autorytetu dla nich, zwłaszcza skoro ta sama

osoba mówiła i robiła wiele takich rzeczy, które dla nich są „zgorszeniem” i „głupstwem”.

Jeśli nawet z racji ludzkiej słabości ludzie ci doświadczają nieprzepartej potrzeby oparcia swoich przekonań – poza własnym „rozumem” – na jakimś autorytecie historycznym, to dlaczego nie poszukają sobie w dziejach innego, bardziej im odpowiadającego? A przecież jest taki od dawna na podorędziu: założyciel szeroko rozpowszechnionej religii buddyjskiej. Przecież on rzeczywiście głosił to, czego im potrzeba: niesprzeciwianie się, obojętność, bezczynność, abstynencję itd., i udało mu się nawet bez męczeństwa „osiągnąć świetną karierę”⁸ dla swojej religii. Święte księgi buddystów rzeczywiście głoszą pustkę i do ich pełnego zharmonizowania z nowym nauczaniem na ten sam temat potrzebne byłyby tylko drobne uproszczenia. Natomiast Pismo Święte żydów i chrześcijan jest wypełnione i na wskroś przeniknięte pozytywną treścią duchową, odrzucającą zarówno dawną jak i nową pustkę; aby zatem nauczanie o pustce powiązać z jakąś ewangeliczną czy prorocką sentencją, trzeba nie przebierając w środkach rozerwać związek tej sentencji z całą księgą i z najbliższym kontekstem, gdy tymczasem buddyjskie sutry dostarczają całej masy stosownych pouczeń i legend i nie ma w tych księgach niczego, co by swoją istotą lub duchem sprzeciwiało się nowej nauce. Zastępując w niej „galilejskiego rabbiego” samotnikiem z rodu Siakjów, rzekomi chrześcijanie nie ponieśliby żadnej rzeczywistej straty, a zyskaliby coś bardzo ważnego – przynajmniej moim zdaniem: możliwość pozostania nawet w błędzie ludźmi uczciwie myślącymi i w pewnej mierze konsekwentnymi. Ale oni tego nie zechcą...

Beztreściowość teologiczna nowej „religii” i jej logiczne sprzeczności aż nadto rzucają się w oczy i od tej strony wypadło

mi tylko (w trzeciej rozmowie) przedstawić krótki, ale pełny wykaz twierdzeń, które w oczywisty sposób wzajemnie się wykluczają i nie są w stanie zamącić w głowie nikomu poza taką beznadziejną figurą, jak mój Książę. Gdyby mi się jednak udało otworzyć komuś oczy na inną stronę tego problemu i pozwolić jakiejś oszukanej, ale żywej duszy odczuć cały fałsz moralny tej obezwładniającej doktryny w jej całości, to cel polemiczny tej książeczki byłby osiągnięty.

Zresztą jestem głęboko przekonany, że słowo demaskujące nieprawdę, wypowiedziane do końca, jeśliby nawet w tym momencie nie wywarło na nikogo pożądanego wpływu, stanowi jednak – poza subiektywnym spełnieniem obowiązku moralnego przez wypowiadającą je osobę – również uchwytne duchowo zabieg sanitarny w życiu całego społeczeństwa, bardzo dlań pożyteczny dzisiaj i na przyszłość.

Z zadaniem polemicznym tych dialogów związany jest u mnie ich cel pozytywny, a mianowicie zamiar przedstawienia problemu walki ze złem i sensu dziejów z trzech różnych punktów widzenia. Jeden z nich, religijno-obyczajowy, należący do przeszłości, występuje zwłaszcza w pierwszej rozmowie, w przemowach Generała; drugi, urzeczony postępem kultury, panujący obecnie, znajduje swego wyraziciela i obrońcę w Polityku – zwłaszcza w drugiej rozmowie; trzeci, ściśle religijny, który dopiero w przyszłości ukaże swoje decydujące znaczenie, jest zaprezentowany w trzeciej rozmowie, w rozważaniach p. Z., i w opowieści ojca Pansofija. Jakkolwiek ja sam stoję definitywnie na tym ostatnim stanowisku, to jednak uznaję względną prawdę zawartą również w dwóch pierwszych i dlatego mogłem z jednakową bezstronnością przekazywać sprzeczne wzajemnie wywody i oświadczenia Polityka i Generała. Najwyższa,

absolutna prawda nie wyklucza i nie neguje poprzednich warunków swojego ukazania się, lecz potwierdza je, uświadamia i uświęca. Jeśli z pewnego punktu widzenia historia powszechna jest powszechnym sądem Bożym – die Weltgeschichte ist das Weltgericht – to przecież pojęcie takiego sądu obejmuje długi i skomplikowany spór między dobrymi i złymi siłami historycznymi, a spór ten dla ostatecznego rozwiązania zakłada z jednakową koniecznością zarówno zaciętą walkę o byt między tymi siłami, jak i maksymalny ich wewnętrzny, a zatem pokojowy rozwój we wspólnym środowisku kulturowym. Dlatego w świetle najwyższej prawdy obaj oni: Generał i Polityk, mają słuszość, i zupełnie szczerze stawałem na stanowisku i jednego, i drugiego. Absolutnie niesłuszna jest tylko sama zasada zła i fałszu, nie zaś takie sposoby walki z nią, jak miecz wojownika czy pióro dyplomaty: te narzędzia należy oceniać według ich rzeczywistej celowości w konkretnych warunkach i każdorazowo to z nich jest lepsze, którego zastosowanie skuteczniej służy dobru. Zarówno metropolita św. Aleksy, kiedy pokojowo orędownał za ruskimi książętami u Ordy, jak i święty Sergiusz, kiedy błogosławił orężowi Dymitra Dońskiego przeciwko tejże Ordzie, byli jednako sługami jednego i tego samego dobra – wielorakiego i wielopostaciowego.

Te „rozmowy” o złu, o zbrojnej i pokojowej walce z nim, należało zakończyć konkretnym ukazaniem ostatniego, skrajnego objawienia się zła w dziejach, przedstawieniem jego krótkiego triumfu i ostatecznej klęski. Początkowo zrobiłem to w takiej samej formie dialogowej i tak samo w sposób nieco żartobliwy. Przyjacielska krytyka przekonała mnie jednak, że ta metoda jest tu podwójnie nieodpowiednia: po pierwsze dlatego, że wymagane przez dialog przerwy i uwagi w nawiasie osłabiają

zainteresowanie narracją, a po drugie, że potoczny, a zwłaszcza żartobliwy ton rozmowy nie odpowiada religijnej wadze tematu. Uznawszy te argumenty za słuszne, zmieniłem redakcję trzeciej rozmowy, wstawiając w nią tekst ciągły „krótkiej opowieści o Antychryście”, odczytanej z rękopisu zmarłego mnicha. Opowieść ta (którą najpierw publicznie przeczytałem) wzbudziła zarówno u publiczności, jak i w prasie sporo nieporozumień i błędnych interpretacji, których główna przyczyna jest nader prosta: jest to niedostateczna u nas znajomość tego, co słowo Boże i tradycja Kościoła mówią o Antychryście. Wewnętrzne znaczenie Antychrysta jako religijnego samozwańca, który zdobył dla siebie godność Syna Bożego drogą „przywłaszczenia”, nie zaś duchowego czynu, jego związek z fałszywym prorokiem-taumaturgiem, zwodzącym ludzi rzeczywistymi i pozornymi cudami, niejasne i grzeszne pochodzenie samego Antychrysta, działaniem złej mocy zyskującego swoją zewnętrzną pozycję wszechświatowego monarchy, ogólny przebieg i koniec jego działalności, wraz z pewnymi szczególnymi czynami znamiennymi dla niego i jego fałszywego proroka, jak np. „sprowadzenie ognia z nieba”, zabicie dwóch świadków Chrystusa, wystawienie ich ciał na ulicach Jerozolimy itd. – wszystko to znajduje się w słowie Bożym i w najdawniejszej tradycji. Dla powiązania wydarzeń oraz dla plastyczności narracji potrzebne były szczegóły, oparte na domysłach historycznych albo podpowiedziane przez wyobraźnię. Szczegółów tego ostatniego rodzaju, jakimi są na pół spirytystyczne, na pół kuglarskie sztuczki światowego maga z podziemnymi głosami, z fajerwerkiem itp., nie traktowałem poważnie i sądziłem, że mam prawo oczekiwać od swoich „krytyków” takiego samego stosunku do tej sprawy. Co się tyczy drugiej bardzo istotnej warstwy –

charakterystyki trzech uosobionych wyznań na soborze powszechnym – to dostrzec ją i ocenić mogli tylko ci, którym nie obce są dzieje i życie Kościoła. Zawarta w Apokalipsie charakterystyka fałszywego proroka i ukazana tam wprost jego rola, polegająca na zwodzeniu ludzi w interesie Antychrysta, każą przypisać mu wszelkie sztuczki czarnoksięskiego i kuglarskiego typu. Jest rzeczą wiadomą, dass sein Hauptwerk ein Feuerwerk sein wird: „I czyni wielkie znaki, tak iż nawet każe ogniewi zstępować z nieba na ziemię na oczach ludzi” (Ap 13,13). Nie możemy znać z góry magicznej i mechanicznej techniki tych poczynąń i można tylko być pewnym, że za dwa czy trzy wieki posunie się ona znacznie naprzód w porównaniu z dzisiejszą; czego zaś przy takim postępie czarodziej ów będzie mógł dokonywać, nawet nie próbuję się domyślać. Niektóre konkretne szczegóły mojej opowieści spełniają jedynie rolę pogładowej ilustracji rzeczywistych i prawdopodobnych problemów, aby nie pozostały one gołymi schematami.

Również tam wszędzie, gdzie jest u mnie mowa o panmongolizmie i azjatyckim najeździe na Europę, należy odróżniać to, co istotne, od szczegółów. Ale i sam główny fakt nie ma oczywiście tej absolutnej wiarygodności, jaka dotyczy przyszłego pojawienia się i losu Antychrysta i jego fałszywego proroka. W historii mongolsko-europejskich stosunków niczego nie wzięłem z Pisma Świętego, jakkolwiek wiele szczegółów ma tam aż nadto punktów oparcia. Ogólnie historia ta jest szeregiem opartych na faktycznych danych przypuszczeń o tym, co prawdopodobne. Osobiście myślę, że prawdopodobieństwo to jest bliskie pewności – a wydaje się tak nie tylko mnie, lecz i innym, ważniejszym osobom... Dla spójności narracji wypadało dodać do tych przypuszczeń na temat przyszłej nawały mongolskiej różne

szczegóły, przy których oczywiście nie zamierzam obstawać i których starałem się nie nadużywać. Chodziło mi o to, aby realistyczniej ukazać spodziewane straszliwe zderzenie dwóch światów, a przez to unaocznąć nagłą konieczność pokoju i szczerzej przyjaźni między narodami europejskimi.

O ile zaprzestanie wojen w ogóle przed nadejściem ostatecznej katastrofy uważam za niemożliwe, o tyle w jak najściślejszym zbliżeniu i pokojowej współpracy wszystkich chrześcijańskich narodów i państw widzę nie tylko możliwą, lecz konieczną i moralnie obowiązującą drogę ratunku świata chrześcijańskiego przed pochłonięciem go przez najniższe żywioły.

Aby nie przedłużać i nie komplikować swojego opowiadania, opuściłem w tekście rozmów inne przewidywanie, o którym powiem tutaj dwa słowa. Wydaje mi się, że sukces panmongolizmu zostanie ułatwiony przez tę zaciętą i wyczerpującą walkę, jaką niektórym państwom europejskim przyjdzie stoczyć przeciwko przebudzonemu islamowi w zachodniej Azji oraz północnej i środkowej Afryce. Większą, niż się zazwyczaj przypuszcza, rolę odgrywa tu tajna i nieustająca działalność religijno-politycznego bractwa Senussi, które dla ruchów współczesnego świata muzułmańskiego ma takie samo pierwszorzędne znaczenie, jakie w ruchach świata buddyjskiego przypada tybetańskiemu bractwu Kelanów w Lhasie z jego indyjskimi, chińskimi i japońskimi odgałęzieniami. Jestem daleki od absolutnej wrogości wobec buddyzmu, a tym bardziej islamu, ale do tego, aby odwracać oczy od istniejącej i przyszłej sytuacji, jest i beze mnie aż nadto chętnych⁹.

Siłom dziejowym, władającym ludzkimi masami, przyjdzie się jeszcze zderzyć ze sobą i przemieszać, zanim na tej

rozdzierającej samą siebie bestii wyrośnie nowa głowa – jednocząca świat cały władza Antychrysta, który „będzie mówił głośno i wzniosie słowa” i narzuci wspaniałą szatę dobra i prawdy na tajemnicę skrajnej nieprawości w chwili jej ostatecznego objawienia się, aby – według słów Pisma – nawet wybranych, o ile to możliwe, skusić do wielkiego odstępstwa (por. Mt 24,24). Ukazanie zawczasu tej oszukańczej maski, pod którą ukrywa się złowroga przepaść, było moim najwyższym celem, kiedy pisałem tę książeczkę.

Do Trzech rozmów dodałem kilka niewielkich artykułów ogłoszonych w latach 1897 i 1898 (w gazecie „Ruś”). Niektóre z tych artykułów należą do najbardziej udanych rzeczy, jakie kiedykolwiek napisałem. Swoją zaś treścią uzupełniają one i wyjaśniają główne myśli Trzech rozmów¹⁰.

Na koniec wypada mi wyrazić serdeczną wdzięczność p. A.P. Salomonowi, który skorygował i uzupełnił moje wyobrażenia co do topografii współczesnej Jerozolimy, p. N.A. Wieljaminowowi, który mi opowiedział o widzianej przez siebie w r. 1877 baszybuzuckiej „kuchni”, i p. M.M. Bibikowowi, który uważnie przeanalizował opowiadanie Generała w pierwszej rozmowie i wskazał na błędy w dziedzinie techniki wojennej, które teraz dzięki temu poprawiłem.

Również w tej poprawionej wersji widzę dostatecznie jasno różne braki, ale stojące przede mną widmo nie tak już dalekiej śmierci radzi mi po cichu nie odkładać ogłoszenia tej książeczki na nieokreślony i niepewny termin. Jeśli dany mi będzie czas dla nowych prac, to znajdzie się też dla ulepszenia poprzednich. Jeśli zaś nie, to w przekonaniu, że przyszły dziejowy wynik duchowych zmagających ukazałem w dostatecznie jasnym, choć

krótkim zarysie, wydaję teraz tę niewielką pracę z pełnym wdzięczności poczuciem spełnionego obowiązku moralnego¹¹.

Wielkanoc, 1900 r.

Przypisy

[*] Włodzimierz Sołowiow, Wybór pism, tom 2, tł. Juliusz Zychowicz, Wyd. W Drodze, Poznań 1988 r., s.122-150.

[1] Scena ta jest jakby odwróconym aktem chrztu Chrystusa w Jordanie – Cz. Miłosz, *Science Fiction and the Coming of the Antichrist*, w: *Emperor of the Earth. Modes of Exccentric Vision*, Berkeley, Los Angeles, London 1977, s.25 (cyt. Za G. Przebindy przypisem do jego tłumaczenia *Opowieści o Antychryście*, w: „Znak” 384-385/86).

[2] Umieszczenie papieżstwa w Petersburgu jest powtórzeniem przekonania, wyrażonego przez Sołowiowa najpełniej w *La Russie et ‘Église Universelle*, o wyjątkowej roli Rosji dla katolicyzmu, a zatem i dla świata. Charakterystyczna jest jednak zmiana w rozumieniu tej wyjątkowości. Dawniej Sołowiow był przekonany, że papieżstwo w oparciu o Rosję carską, w której dokona się pojednanie kościołów, tak że prawosławie stanie się katolickie, da światu powszechną, wolną teokrację, czyli Królestwo Boże na ziemi. Teraz widzi już Rosję, w której dokonało się nie zjednoczenie, ale wymieszanie kościołów, jako przytułek i czyściec dla papieżstwa, z którego wyjdzie ono odrodzone, by sprostać wyzwaniu końca czasów, a dla caratu nie ma w tym wszystkim już żadnej roli.

[3] Święto Podwyższenia Krzyża św.

[4] Zitalizowana forma imienia św. Piotra Apostoła – Szymon Bar Jona

[5] Według rozpowszechnionej w Rosji legendy car Aleksander I nie umarł w Taganrogu w 1825 r., lecz wykorzystując śmierć swego sobowtóra podstawił jego zwłoki jako swoje i uszedł na Syberię, gdzie jeszcze wiele lat żył jako czczony starzec Fiodor Kuźmicz, który zmarł w Tomsku 20.I.1864r.

[6] Nazwisko nawiązujące do osoby św. Pawła Apostoła.

[7] Zob. to, co na temat tego miejsca powiedziano w przedmowie, s. 20-21.

[8] Wyrażenie nie moje.

[9] A propos: Stale przypisują mi wrogo-demaskatorskie pisma skierowane przeciwko założycielce neobuddyzmu, nieżyjącej już J.P. Bławatskiej. W związku z tym uważam za konieczne oświadczyć, że nigdy się z nią nie zetknąłem, żadnym badaniem i demaskowaniem jej osoby i sprawianych przez nią zjawisk się nie zajmowałem i niczego na ten temat nigdy nie publikowałem (co się tyczy

„Towarzystwa Teozoficznego” i jego doktryny, zob. moją uwagę w Słowniku Wiengierowa i recenzję książki Bławatskiej *Key to the secret doctrine* w czasopiśmie „Russkoje Obozrienije”).

[10] Są to Listy niedzielne, których część tworzy osobny cykl Listów paschalnych (przyp. tłum.). Listy paschalne opublikowaliśmy w I tomie Wyboru pism W.S. Sołowjowa.

[11] Przedmowa ta była zamieszczona w pierwotnej postaci w gazecie „Rossija” pod tytułem *O fałszywym dobru*. Wydając *Trzy rozmowy* jako oddzielną książkę, W.S. Sołowjow dokonał w niej znacznych poprawek. Los wszakże sprawił, że jedna z tych poprawek okazała się niepotrzebna. Za radą przyjaciół skreślone zostały mianowicie słowa, mające – jak się zdawało – nieco zbyt osobisty charakter: „...ale stojące przede mną widmo nie tak już dalekiej śmierci radzi mi po cichu nie odkładać” itd. Słowa te, które się aż nazbyt szybko sprawdziły, powinny pozostać również w poprawionym tekście (przyp. S.M. Sołowjow).

Indeks biblijny

1Kor 14,20

Ap 11,3.7-11

Ap 12,1-6

Ap 13,13

Ap 13,13

Ap 19,20

Ap 20,4

J 5,43

J 21,22.23

Mt 16,1

Mt 24,24

Mt 24,27.30